Nr. 19. Lwów, Niedziela dnia 7. Maja 1876 r. **Rok III.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XVII.

Repertuarz lwowskiego teatru.

I. Poruszona niedawno w *Dzienniku Polskim* myśl zaprowadzenia intendentury teatrów krajowych, i ogólna opinja światłej publiczności, domagająca się uchylenia wielu wadliwości w repertuarzu naszego teatru, nastręczają nam sposobność wypowiedzenia kilku uwag, jakie nam dbałość i dobro sceny narodowej a serdeczna dla niej życzliwość dyktują.

Nie ulega wątpliwości, że repertuarz teatru lwowskiego cierpi na brak systemu, na brak myśli jakiejś przewodniej, i nie licuje wcale ze stanowiskiem sceny narodowej wielkiego miasta. Ogół publiczności widzi to, czuje, częstokroć ubolewa nad kierunkiem repertuarza luźnym, często płochym. Znajdują się atoli osoby, broniące od zarzutów dyrekcję teatru, usprawiedliwiające ją nawet. Zarzuty bywają zwykle ogólnikowe — obrona szczegółową. — Te ogólnikowe narzekania dadzą się ująć w następujące punkta: 1) Repertuarz przepełniony jest farsami, operetkami, z krzywdą komedji wyższej, salonowej — a na zupełny koszt dramatu i tragedji; 2) jest za mało narodowy; 3) pomija zupełnie potrzeby niedzielnej publiczności; 4) nie ma najmniejszego systemu.

Obrona wypowiada na to następujące argumenta: 1) Teatr nie ma funduszów odpowiednich, aby utrzymywać dostateczny personal do dramatu i tragedji; 2) musi stosować się do smaku publiczności; 3) farsa i operetka panują obecnie w teatrach głównych stolic Europy; wreszcie: 4) literatura polska dramatyczna jest tak uboga, iż scena musi zasilać się zagranicznym repertuarzem. Kto tylko dokładnie uprzytomni sobie szereg przedstawień w teatrze tutejszym, od roku przesuwających się przez scenę, zgodzić się musi na to, że zarzuty teatrowi czynione są zupełnie słuszne; chodzi więc o to, aby się rozpatrzyć w obronie i rozważyć, czy jest należycie uzasadnioną.

Kto utrzymuje, że dzisiejszy personal teatru lwowskiego nie wystarcza do przedstawiania dramatów i tragedji — ten nie broni wcale dyrekcji, a poniekąd uchybia artystom. Prawda, że artystów do ról komicznych wyłącznie, naliczylibyśmy we Lwowie znacznie więcej, niż amantów lirycznych, bohaterów i artystów do ról *serjo* charakterystycznych, — ale gdyby dyrekcja szczerze chciała zająć się poważniejszym repertuarzem, mogłaby bez uszczerbku dla budżetu starać się o adeptów do ról poważniejszych, mogłaby na popołudniowych przedstawieniach ćwiczyć młodzież artystyczną także w dramacikach małych — a nie wyłącznie w farsach i komedjach płaskich. Przedewszystkiem atoli zauważać musimy, że i dzisiejszy skład personalu wystarczyłby do dramatu. Panowie Ładnowski i Woleński — przedstawiają się nam jako artyści, którzy właściwie użyci, mogliby stać się ozdobą każdej pierwszorzędnej sceny. Mamy zaś kilku artystów z takim talentem, że mogliby w dramacie godne zająć miejsce obok obu wymienionych, gdyby im nie kazano w każdej farsie przewracać koziołków. Taki talent jak p. Zboińskiego, prawdziwie marnuje się, ginie w rolach: Alibaby, Cacoleta, Roberta złodzieja i t. d. Kto może być doskonałym Szujskim w Dymitrze, wybornym Poloniuszem w Hamlecie, i t. d. ten podoła wielu innym poważnym rolom.

Przydałby się jeszcze amancik, jeszcze do ról ojców jeden artysta obok p. Zamojskiego, a personal zupełnie wystarczyłby do najdoskonalszych reprezentacyj poważnych. Rzecz o braku funduszów nie wytrzymuje dyskusji i obrona tym argumentem upada — bo zmniejszywszy personal o dwie mniej potrzebne osoby — można tym kosztem zaangażować amanta i artystę do ról ojców.

Publiczność w mieście, gdzie tylko jeden jest teatr, wyrabia sobie smak w tym jednym teatrze, i nic łatwiejszego, jak pokierować tym smakiem publiczności. Za dyrekcji J. Pfeifra w Krakowie, przeważał w repertuarzu dramat. Najefektowniejsze eleboraty bądź własnej, bądź cudzej literatury przedstawiano jeden po drugim, bez względu na ich wartość estetyczną. Obok tego i utwory wielkiej wartości, byle dramat lub tragedja, wchodziły na scenę. Za dyrekcji Miłaszewskiego niemal nic się nie zmieniło w kierunku repertuarza, publiczność więc przez lat blisko dwadzieścia przyzwyczajała się do wieloaktowych, krwawych, efektownych reprezentacyj, a jednak — skoro hr. Skorupka objął dyrekcję i wprowadził komedję salonową obok doborowych dramatów i tragedyj — publiczność po niedługim czasie tłumnie zapełniała salę. O ile sobie przypominamy, przedstawiano wówczas pięć razy z rzędu „Śluby panieńskie,“ każdym razem w obec przepełnionej sali.

Mówią obrońcy repertuarza, że publiczność lwowska mniej jest wykształconą od krakowskiej, czego dowodem ma być okoliczność, że na Otellu mniej bywa widzów, niż na jakiejkolwiek farsie. Nie możemy tu rozstrzygać, którego miasta publiczność jest wykształceńszą, ale nie ulega wątpliwości, że Lwów już przez to samo musi znaczniejszą liczbę inteligencji posiadać, iż jest stolicą kraju, gdzie rozliczne urzędy wyższe, których nie ma w Krakowie, mają swoją siedzibę. Przytem jest Lwów miastem pod względem handlu więcej ożywionem od Krakowa, a zatem stan kupiecki silniej tu reprezentowany. Zamiłowania do teatru publiczności nie brak, skoro mimo codziennych reprezentacyj, zawsze jako tako zapełnia salę. Że zaś na Otellu nieliczne bywa teraz zebranie, toć nie dziwota, gdy uwzględnimy, że sztuka ta, to prawie alfa i omega tragicznego repertuarza w teatrze lwowskim i zbyt często się powtarza — a zwykle wtenczas, gdy publiczność wyczerpała się na farsy, zwabiona ich nowością. Zresztą i to zauważać potrzeba, że jeżeli zjawi się jaki dramat na scenie tutejszej, dyrekcja mało zwraca uwagi i starania, aby go odpowiednio przedstawić. Gra się sztukę taką o trzech próbach, jak zwykłą farsę, reżyserja nie wiele się troszczy o dykcję artystów i obmyślenie sytuacyj scenicznych; kostjumy i rekwizyta bywają zwykle doryweczo dobrane, często niestosowne a tak zniszczone i zużyte, iżby je raczej na śmietnik wyrzucić należało. Komparsi niewyćwiczeni w przyzwoitem chodzeniu po sce-

nie, nie umyci i nie ogoleni nawet, przedstawiają lordów, lub hetmanów.

Niech dyrekcja dając dramat pamięta, że na dykcji polega wiele, na sytuacjach zręcznych nie mniej — że dramat i tragedja — to nie farsa, gdzie można nie umiejąc roli, improwizować dowcipkami; niech dając dramat, przedstawia go z tym samym komfortem w kostjumach i dekoracjach, co farsy — a teatr będzie pełny.

Niczego to także nie dowodzi, że *Córka Rolanda* nie przyniosła zbyt wielkich dochodów. Jakże się dziwić, że publiczność więcej spieszy na farsy, niż spieszyła na wymieniony dramat, skoro dyrekcja teatru systematycznie do fars ją przyzwyczaja. Wobec istniejącego repertuarza dziwić się nawet trzeba, że tyle na „Córce Rolanda“ było publiczności.

Dyrekcja nie może więc zasłaniać się smakiem publiczności — bo leży w jej mocy smak ten naprawiać, lub sprowadzać na tory nie estetyczne, a zresztą dyrekcja nawet wbrew smakowi publiczności postępuje. Za Miłaszewskiego przedstawiano, zwłaszcza w niedzielę i święta, sztuki barwy patrjotycznej, (*Bem*, *Gwiazda Syberji* i t. d.) następna dyrekcja bardzo często przedstawiała: *Obronę Częstochowy* — a zawsze teatr bywał przepełniony i o ile wiemy, obie te dyrekcje ratowały się finansowo temi przedstawieniami. Sztuki kontuszowe, patrjotyczne — zawsze przypadały do smaku patrjotycznego mieszczaństwa lwowskiego — a pociągały też i inteligencję, która wybaczała wadom estetycznym sztuki, bacząc na jej dążność. Czemuż dyrekcja dzisiejsza nie stosuje się pod tym względem do smaku publiczności, i w niedzielę i święta bluźni poczciwym uczuciom patrjotycznym, przedstawiając takie hece cyrkowe, jak: „Dwaj złodzieje“ „Pericola,“ „Indigo?“

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

CZĘŚĆ TRZECIA.

Emigrant i wygnaniec.

V.

Modlitwa Konstancji została wysłuchana, ocalenie przychodziło prawdziwie z nieba.

U stóp jej klęczał nie napastnik, którego się obawiała, ale obrońca.

Obrońca w sołdackiej szynieli, z ostrzyżoną podług form przepisanych głową, nie różniący się na pozór niczem od innych sołdatów i taka bierna maszyna jak oni, ale przemawiający językiem współczucia i wybawienia, głosem znajomym, choć go sobie odrazu przypomnieć nie mogła.

Dopiero ochłonąwszy z pierwszych wrażeń, Konstancja zbierać zaczęła swoje wspomnienia i postać człowieka, który znajdował się przed nią, zarysowała się nieco wyraźniej w jej pamięci.

Przypomniała go sobie, gdy on był szesnastoletnim wyrostkiem, a ona dwunastoletnią dzieweczką i na której usługi ów wyrostek gotów był rzucić się w ogień i w wodę.

Był to wychowaniec podstarościego z Zaskala, poczciwego starego Lemieszyńskiego, dziecko znalezione pod płotem i przytulone przez starca, który pozbawiony będąc rodziny, chciał sobie tym sposobem zapewnić pociechę na dni ostatnie.

Dziecko to nazwano Iwankiem. Nietrudno było Lemieszyńskiemu wychowywać Iwanka, bo z łaski rotmistrza miał dość chleba, aby się nim dzielić z sierotą, ale poczciwy podstarości miał zbyt dobre serce, żeby chłopca utrzymać w tym rygorze jakiego wymagała butna i niesforna jego natura. Rozpieszczony przez opiekuna chłopiec wyrósł na wisusa pierwszego rzędu, którego lekkomyślności niczem już później poskromić nie było można. Jedna tylko panna Kostusia miała na niego wpływ, i gdy się na niego rozgniewała, gdy mu nagadała morałów, które ze względu na jej wiek brzmieć musiały przy całej swej powadze bardzo komicznie, upamiętywał się na dni kilka, stateczniał, stawał posłusznym opiekunowi, odradzał.

Ale trwało to tylko przez kilka dni, a potem znów charakter brał górę nad powziętem postanowieniem i chłopiec stawał się wartogłówem, hultajem, aż stary Lemieszyński załamywał ręce i powtarzał z rozpaczą:

— Mój Boże! co z tego chłopca będzie!...

Tak upływały lata; jednego razu, po jakiemś większem przewinieniu znikł Iwanko z Zaskala i już o nim nie słyszano więcej.

Gdzie się obracał, co robił, niewiadomo. Przeznaczonem było, że Konstancja spotka go dopiero w tej chwili, gdy z narażeniem siebie samego będzie się mógł stać jej wybawcą, spotka go dopiero wówczas, gdy ubrany w mundur sołdacki u drzwi jej kaźni postawionym będzie na straży.

Czytelnik prędzej niż ktokolwiek w Zaskalu pojmie przyczynę owej ucieczki Iwanka z Zaskala i puszczenia się jego na wędrówkę po szerokim świecie.

Młody chłopiec był zły na siebie że swojej natury poskromić nie mógł, że „jakiś djabeł w nim siedział,“ jak to sam zwykł był tłumaczyć w chwilach skruchy, i tyle miał nad nim mocy, że go wciąż robił przyczyną zmartwienia dla starego opiekuna, który go kochał, dla wszystkich co mu dobrze życzyli, i dla tej „panienki Kostusi,“ na której wyrzuty i nagany najmniej podobno zasłużyć pragnął. Widząc że sam siebie nie pokona, postanowił uciec i uciekł. Konstancji ani przez myśl przejść nie mogło, że ona była najbespośredniejszą przyczyną jego ucieczki, że gdyby nie ona, niesforny chłopak byłby aż do końca trapił starego Lemieszyńskiego wybrykami swojej młodości, i goił rany sercu jego zadane przyrzeczeniami poprawy, o której na serjo nie myślał.

Jej się tylko Iwanko wstydził, jej tylko jednej zwodzić nie chciał, a gdy po kilkodniowem upamiętaniu się wskutek jej upomnień, znowu sobie cugli popuścił i mógł się spodziewać że się znowu z jej niezadowoleniem spotka, wtedy zawsze najdziksze do głowy przychodziły mu myśli, wtedy upatrywał najgrubszego drzewa w lesie, ażeby się na nim powiesić, albo najgłębsze kotliny w Smotryczy, żeby w jej falach przed młodziutką panią ukryć. I wtedy, gdy stary Lemieszyński, powtórzył zwykłe swoje utyskiwające pytanie: „Mój Boże! co z ciebie chłopcze będzie?“ jemu także snuła się po głowie uwaga:

— Stary chyba prawdę powiada, że ze mnie nigdy nie będzie nic!

W jednej z chwil takich uplanował i wykonał swoją ucieczkę.

Że mu się na szerokim świecie nie szczególnie wiodło, dowodem była ta szyniel sołdacka, którą nosił na sobie; że mu z pamięci i z serca nie wywietrzały dawne wspomnienia, że kilka lat spędzonych zdala od wioski w której się wychował, nie przecięły nitki, jaka go z tą wioską i jej mieszkańcami łączyła, dowodziło to, że poznał swoją panienkę i że z takiem wzruszeniem do jej nóg się rzucił, a że się nie zmienił jego charakter, lekki i płochy ale w gruncie poczciwy, o tem miało dalsze jego postępowanie dać świadectwo.

— Ah! to ty, Iwanku! — rzekła Konstancja przychodząc do siebie.

— Boże moj! Boże mój! panienka moja mnie poznała! A! choćby mnie pałkami zabić mieli, zrobię wszystko co mi panienka każe, żeby panienkę ztąd uwolnić, za to że panienka pamiętała o hultaju Iwanku, który tego nie wart był nigdy!...

I łzy serdecznego rozrzewnienia spływały po twarzy zaszytego w szyniel moskiewską chłopca.

— Zkąd panienka tutaj w głębokiej Moskwie?... uwięziona?... na Boga! co się stało?... co robi pan rotmistrz...

— Jechałam do niego.

— W głąb Moskwy?... więc go wywieźli?...

— Wywieźli!...

— Ha, łotry! — zgrzytnął zębami i zacisnął pięści żołnierz carski — ha łotry!... a mój stary, umarł z pewnością z żalu że się tak stało!...

— Żyje...

— Mój Boże! czy ja go kiedy zobaczę? Ale tutaj nie o mnie idzie... panienkę trzeba ratować!... panienka tutaj w turmie zostać nie może... panienka musi jechać dalej, tam pan rotmistrz czeka...

— Słaby... umierający, — westchnęła Konstancja.

— Panienko, Kostusiu... jaśnie wielmożna panienko... pan rotmistrz słaby, pan rotmistrz umiera... chwili czekać nie można. Z tej turmy jest wyjście tylne przez podwórze, tam nikt nie pilnuje i nie uważa... proszę ze mną... ja panienkę wyprowadzę...

Konstancja postąpiła kilka kroków i już bliska tej klamki, której dotknięcie miało być jej ocaleniem, zawahała się.

— Ale... — rzekła — cóż z tobą będzie?...

— Ze mną... a cóż panienko?... nic!... Mnie to już dawno mój poczciwy stary przepowiedział, że ze mnie nic nie będzie. O tem nawet nie warto myśleć, proszę panienki!...

I gestem ją zachęcał, żeby wyszła.

— Ależ ty będziesz za to odpowiadał, żeś mnie wypuścił!

— A to będę odpowiadał — odparł Iwanko rezolutnie — albo to mnie kiedy odpowiedzi brakowało, proszę panienki.

Kłamał poczciwiec. Za owych lat młodzieńczych ile razy Konstancja go gromiła, że opiekunowi swemu życie zatruwa lekkomyślnością swoją, tylekroć zawsze brakowało mu odpowiedzi.

— Co im powiesz?

— To co się mówi zawsze: *nie widał, nie słychał, niczewo nie znaju, wasze błahorodje.*

— Nie uwierzą.

— To ich rzecz, a moja rzecz tak powiedzieć.

— Będziesz karany.

— To i cóż? Jak zaczną bić, to może co dobrego ze mnie wybiją! Żeby mnie bił kiedyś mój poczciwy stary, tobym teraz nie był sołdatem.

— Ależ ja takiej ofiary przyjąć nie mogę... zostanę tutaj... nic wielkiego mi nie zagraża... był ktoś taki co obiecał jutro mnie ztąd wyprowadzić... do jutra przygotuję wszystko, żeby się nie wykryło...

— Ktoś obiecał... więc ja się już na nic nie przydam mojej panience...—odpowiedział smutnie Iwanko.

— Przyjęłabym chętnie twoją ofiarę, ale narażać cię na katowanie nie mogę. Chyba gdybyś mógł..

— Gdybym mógł co?...

— Uciec także.

— Każe panienka, to ucieknę, ale to wszystko jedno.

— Jakto wszystko jedno?

— Złapią... a wtedy gorzej! Zostając można się wykłamać...

— Na to liczyć nie mogę... zostanę...

— A któż to panience obiecał, że do ucieczki dopomoże?

— Ten żołnierz co tu przed tobą stał na warcie.

— Semen!... złodziej i pijanica!... Przyrzekł za darmo?...

— Nie! dałam mu pieniędzy...

— No, to będzie całą noc pił i o żadnym ratunku nie pomyśli. Już ja go znam, nieraz tak robił... ale to całe szczęście, że tak się stało... teraz panienka może śmiało uciekać... mnie się nic a nic nie stanie.

— Zwodzisz mnie, żebym twoją ofiarę przyjęła.

Iwanko uderzył się pięścią w czoło.

— Mój Boże! — zawołał — po co mnie żyć na tym świecie?... Hultaj byłem i łotr, mam teraz za to!... Choćbym przysięgał nikt mi wierzyć nie będzie! nie będzie mi wierzyła moja panienka!

Łzy znów gwałtownie cisnęły mu się do oczu, starał się jednak panować nad niemi.

Konstancja patrzyła nań zdziwiona.

Po chwili przyszła mu nagła myśl. Szarpnął się gwałtownie za kołnierz swojej sołdackiej szyneli, wsunął jednę rękę pod szyję, i wydobył zawieszony na piersi szkaplerz.

— Widzi panienka? — rzekł — tę świętość dostałem kiedyś, kiedym był mały z rąk panienki, kiedy panienka była taka maleńka... Nie ma dla mnie większej świętości... Jej winienem, żem nie został dotąd i nie zostanę nigdy złym człowiekiem, chociaż jestem nic wart... Panienko! na tę świętość przysięgam, że chociaż wyprowadzę ztąd panienkę, nie stanie mi się nic... a jeśli panienka nie uwierzy, to nie mam już po co żyć na tym świecie.

To powiedziawszy ucałował pobożnie szkaplerz, i uroczyście powtórzył:

— Przysięgam!

— Cóż zrobisz?—zapytała Konstancja.

— Wiem... ale niech panienka nie pyta, nie powiem.

— Słuchaj! ufam ci! pamiętaj, że Bóg słyszał twoją przysięgę, i że jeśli była fałszywą, pomoc twoja nie pomoże mi, zgubi mnie tylko...

— Nie skłamałem i niech mi pan Bóg tak dopomoże jak prawdę powiedziałem... Chodźmy panienko...

Otworzył drzwi. Wyszli.

Na korytarzu nie było nikogo, Iwanko przewidział wszystko dobrze. Żadna przeszkoda nie stanęła na zawadzie ucieczce. Po za wyjściem z podwórza turmy były dosyć gęste zarośla. Wskazał Konstancji drogę przez nie, prowadzącą prosto za miasto i bezpieczną.

— Iwanku! — rzekła Konstancja — dziękuję ci i mam nadzieję, że ci kiedyś będę mogła dopomódz, tymczasem podzielę się z tobą...

— Pieniądzmi? — oh! nie, panienko, niepodobna!...

— Dlaczego?

— Gdybym przyjął cokolwiek... znalezionoby przy mnie, a wtedy jużbym nie mógł dotrzymać mojej przysięgi...

— Więc w innej sposobności wywdzięczę ci się... W którym pułku służysz?...

— W sześćdziesiątym czwartym linjowym, szósta kompanja...

— Dobrze...

— Ale niech się panienka spieszy.

Konstancja podała mu rękę, ucałował ją, schylił się do jej kolan i ucałował jeszcze. Potem rzekł:

— Prędzej! prędzej panienko — tam!

Konstancja znikła, on się cofnął, zamknął za sobą podwórzowe wyjście, powrócił na swoje miejsce i dalej stał na warcie przed opróżnioną już kaźnią.

Nie upłynęło godziny, czynownik któregośmy widzieli w urzędowej kancelarji, ukazał się na korytarzu turmy.

Szedł szybko, uśmiechając się i oblizując charakterystycznie.

Gdy spostrzegł żołnierza zatrzymał się.

— Cóż ona tam robi? — zapytał.

— *Nie znaju, wasze błahorodje* — odpowiedział śmiało Iwanko.

— *Kak nie znajesz?...* — zawołał czynownik zdziwiony — wszakże kazano patrzeć...

— Patrzyłem...

— I cóż?..

— Tam nie ma nikogo, *wasze błahorodje!*

— Jak śmiesz mówić coś podobnego! — zaperzył się małomiejski satrapa.

— *Tam nikawo niet, wasze błahorodje* — powtórzył spokojnie Iwanko — i nikogo nie było — dodał po chwili.

Czynownik sam przyskoczył do szybki i niebawem przekonał się naocznie o prawdzie słów żołnierza.

— *Uszła! ja tiebia ubiju!* — wrzeszczał rzucając się na Iwanka.

— *Ja niczawo nie winowat, wasze błahorodje* — odparł z tym samym spokojem wychowaniec Lemieszyńskiego — jej tam nie było.

Stanowczość i spokój Iwanka zaimponowały Moskalowi.

— Dawno stoisz na warcie?— zapytał.

— Dwie godziny.

— Kto ci zdał wartę?

— Semen.

— Gdzie on?

— *Nie znaju!*

— *Posłat' za Semenom,* — zagrzmiał rozkaz czynownika, na odgłos którego zjawiło się kilku tak zwanych „niżnich czynów“ stanowiących obsługę turmy.

Rozkaz wykonano wkrótce. Semena znaleziono w jednym z miejskich „kabaków“ i przyprowadzono przed groźne oblicze assesora.

Zaczęło się śledztwo i łatwo się domyśleć jak wypadło. Przy Semenie, w bucie znaleziono gotówką dziewięć rubli i kilkadziesiąt kopijek drobnej monety, przy Iwanku nic. Semen klął się, że o niczem nie wie, że uwięzioną zdał swemu następcy, że pieniądze czort musiał mu schować do buta, nie mając gdzie ich ukryć naprędce. Iwanko powtarzał to co się odpowiada zawsze: *Nie widał, nie słychał, niczewo nie znaju.* O winie rozstrzygało *corpus delicti* znalezione przy Semenie, a że wartość tego *corpus delicti* nie była do pogardzenia, o pochwyceniu zaś zbiegłej myśleć nie było można, bo nie było ani podstawy do ścigania jej urzędownie, ani prawdopodobieństwa, żeby po upływie tak długiego czasu nie zdołała dobrze się ukryć, więc Moskal pogodził się z losem i cały wymiar sprawiedliwości ograniczył na zabraniu znalezionych przy Semenie rubli do swojej osobistej kieszeni, oraz na udzieleniu temuż w sposobie pokwitowania czy admonicji kilku własnoręcznych kułaków, które Semen, na pół już pijany i oswojony z tego rodzaju przyjemnościami, z dobrą wcale miną wytrzymał.

Konstancja tymczasem była już daleko, wdzięczna Opatrzności za ocalenie z niebezpieczeństwa i wdzięczna człowiekowi, którego ta Opatrzność postanowiła użyć za narzędzie.

Dalsza jej podróż, choć z równym trudem i narażeniem się odbywana, doszła przecież szczęśliwie do swego kresu.

Po upływie kilku tygodni od wyjazdu, żona Stanisława stanęła w miasteczku, do którego wywiezionym był rotmistrz i z którego niewolno mu było pod żadnym pozorem się wydalać.

Było to w jednej z bardzo odległych ale europejskich jeszcze gubernij.

Nie probójmy opisywać co się działo w duszy Konstancji, gdy dowiedziała się nakoniec, że parę godzin tylko oddziela ją od celu jej podróży i z jak ściśniętem sercem zobaczyła rysujące się w oddali miasteczko, będące siedzibą jej dziadka.

Pragnęłaby ptakiem wyrwać się z tarantasu który ją wiózł, i znaleźć się u łoża tego starca, który był dla niej ojcem i matką, trzeba jednak było poddać się losowi i przeżyć jeszcze te ostatnie chwile oczekiwania, przeżyć je z nieodstępną myślą:

— Może go już w grobie zastanę!...

Przeżyła i te chwile najtrudniejsze, sta-

*

nęła w miasteczku i nie wątpiąc, że o starcu-wygnańcu wszyscy wiedzieć muszą, pierwszą spotkaną kobietę zagadnęła pytaniami.

Nie omyliła się, wiadomość dano jej odrazu, i to wiadomość nie taką, która chociaż przez całą drogę przewidywana byłaby w nią uderzyła piorunem.

Kobieta odpowiedziała jej szybko:

— Pan Gradowski... ależ żyje... zdrowszy... zdrów prawie... chodź że pani... mieszka w naszym domu...

Z gorączkowym pospiechem podążyła Konstancja we wskazaną stronę, tak że kobieta, która ją prowadziła, zaledwie mogła dotrzymać jej kroku.

U progu drzwi samych zatrzymała się wnuczka rotmistrza.

Instynkt dziecięcej miłości przypomniał jej, że nagłe wzruszenie mogłoby zaszkodzić starcowi.

— Idź go pani uprzedź ostrożnie — rzekła.

— Nie trzeba — odpowiedziała kobieta — on od rana o niczem nie mówi, tylko o tem że dziś panią zobaczy...

Uchyliła drzwi. Rotmistrz siedział w fotelu i do Konstancji nieśmiejącej wejść dobiegło jego pytanie:

— Cóż?... przyjechałaś?...

— Jest — odpowiedziała gospodyni i w chwilę potem Konstancja tuliła głowę do piersi rotmistrza. (C. d. n.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Sen króla Jagiełły pod Tannenbergiem jest elegją jednej z najświetniejszych chwil naszej przeszłości, osnutą na tradycji historycznej. Było to już po wygranej pod Grunwaldem. W bitwie poległ sam wielki Mistrz, a z nim wodze Krzyżackie i przedniejsze rycerstwo. Ze zdobytego przez zwycięsców taboru

.........strugami złote wino płynie,
Mięsza się z krwią i bryzga na trupów w dolinie,
Co chcieli niem zapijać srom Polski i Litwy....

Zdroje te rozkazał pobożny król wytoczyć na ziemię, ażeby się niemi „lud służebny nie zmazał.“ Tymczasem w szeregach polskich i litewskich brzmią głośne okrzyki: „W pochód, w pochód na Malborg!“ — więc ruszył się Jagiełło, ale znużenie krwawego dnia ołowiem usiadło na strudzonych powiekach starca. Spostrzegłszy to rycerze, zsadzają go z rumaka na miękki trawnik, a żołnierze z proporcami zdobytemi w ręku w krąg otaczają usypiającego bohatyra. Uroczy to był sen! Na siwą głowę od rozpiętych chorągwi spływał wiatrów gwar jak kaskada czarującej fali, i roztaczał złote widziadła. Więc

...jasna jako zorze, jakimś smutkiem rzewna,
Przybliża się z uśmiechem doń polska królewna,
Podaje krzyż.... do sławy wiedzie jak orlica...
I nikn e w mgle...

To znowu widzi, jak w świeżej potrzebie Witołd z wojskiem śród boju znika w tumanach kurzawy, jak wielki Mistrz go pomija, a od Krzyżackich hufów lecący w złocistej zbroi

Rycerz Dypold broń wznosi, do walki go wzywa...

Pierzchły obrazy, zerwał się król — i już koniec pięknego snu. Poeta dodaje, że Jagiełło często potem z lubością wspominał te swoje marzenia pod Tannenbergiem, i zwrócony do przyszłych czasów narodu kończy rzecz serdecznem westchnieniem:

O, kiedyż takie jodły zaszumią nad nami?...

Ksiądz gwardjan Kobylański jest opowiadaniem zakrojonem na większą skalę. Ma za przedmiot wypadki wołyńskie roku 1831. Ogłoszone ustępy są wiele obiecujące; ale że to tylko fragment, co znamy, więc poprzestajemy na tej krótkiej wzmiance. Cały utwór spoczywa w rękopisie.

Do **śpiewów, pieśni, dum i dumek historycznych**, lub noszących przynajmniej pewną barwę historyczną, należą: *Buława Rewery* (1857) — *Konfederat w Kałudze* (t. r.) — *Jeniec* (1858) — *Savannah* (1859) — *Farys — nie Arab* (t. r.) — *Śmierć Levitoux* (1860) — *Dzieweczka* (1861) — *Ojcowskie słowo* (1862) — *Sen pana Bowblewicza* (t. r.) — *Kanonik Pstrokoński* (t. r.) — *Śmierć Zyszki* (t. r.). Osnowę do nich brał poeta nietylko z różnych epok przeszłości, ale także i z ostatniej, spółczesnej sobie chwili; a jak wszędzie tak i tutaj miał na celu uczczenie pieśnią i uświetnienie piękniejszych postaci i podnioślejszych zdarzeń narodowych. Wszystkie te utwory pisane są w zwrotkach i nastrojem swoim okazują obok czynnika powieściowego także wybitne znamiona liryzmu.

Buława Rewery stoi w związku z *Łużeckimi*, i zapewne studjum całej owej epoki wojen turecko-kozackich nastręczyło poecie przedmiotu do śpiewu historycznego, o którym wspominamy. Rzecz opiera się na tradycji o wyoranej w polu buławie. Stanisław Potocki, znany w dziejach pod nazwiskiem Rewery, po licznych stoczonych bojach zapragnął cichego spoczynku, i pewny był, jak mówi pieśń, iż żywota już w domu dokona. Lecz oto z powodu Batohskiej od Kozaków porażki (1652) powołany na hetmana polnego, do nowych walk gotować się musiał. Tę godność hetmańską wywróżył mu kmieć stary, który właśnie zardzewiałą, wydobytą z ziemi pługiem buławę podawał panu swemu.

Weź broń twą, hetmanie, jam znachor z twej [włości,
Bóg czasem mi zgadnąć pozwoli,
A przyszłość wyczytać umieją i prości —
Buławę weź w dani z twej roli.

I stało się tak. Gdy Rewera przybył do Lwowa, podano mu z listem królewskim oznaki nowej godności.

Konfederat w Kałudze jest dumką, której bohatyr — jakiś rycerz z Podola — smutne dni niewoli słodzi sobie rozpamiętywaniem swej przeszłości i przypominaniem stron ojczystych. Mało to jednak pomaga, bo nie ma nadziei powrotu..,

Moja chatka śród Podola,
Hej mogiły! moje pola!
Dziewczę rybka po mnie płacze,
Ja was nigdy nie obaczę!..

W *Jeńcu* składającym się z kilku udatnie złożonych strofek, przebija wyraźnie wyższy cel etyczny: jako miłość wolności mocniejszą jest nawet nad najsłodsze węzły, które łączyć zwykły dwa kochające serca. Toż urodziwy niewolnik Sarmacki, choć prawie szaleje za cudną Greczynką, gdy skruszył kajdany, któremi był skuty, nie pospieszył za lubą do Hellady, lecz dosiadłszy bachmata, z Bakczy-seraju poleciał do rodzinnej Polski. Nie bez związku to z usposobieniem i zapatrywaniami poety!

Savannah należy do najpiękniejszych dum historycznych, jakie posiada nasza literatura. Mamy w niej przepysznie skreślony obraz ostatnich chwil Kazimierza Puławskiego, wodza konfederatów Barskich. Było to w Ameryce, w obliczu bitwy pod Savannah. Hufce, którym dowodził Puławski, stanęły na błoniach gwoli krótkiemu odpoczynkowi. Dowódca-bohatyr zsiadł z konia i spoglądał na spokojne morze, w którego toniach kąpały się złote gwiazdy i rubinowa zorza poranku. Myśli jego pobiegły w dal, do znękanej ojczyzny...

Tak mu bywało, gdy stawał noclegiem
W Polsce: po siołach na pacierze dzwonią,
A z pól wracali do chat robotnicy
Na sen, pod skrzydła Maryji dziewicy....
We dworach ołów topiono w kominach,
Lub spisywano gwałtów protestacje;
Matki w ukryciu płakały po synach,
Co poszli ginąć za konfederację;
Na przyzbach dumy śpiewali Kozacy,
Po lipach na noc zasiadały ptacy....

Fale morskie biły o brzeg — ale nie były to fale od Polski... Więc zadumał się smutnie o losach, jakie nań padły.... potem zwarły się lekko znużone powieki — i usnął.

O! ucisz Panno to serce spokojem —

woła poeta;

Ty jedna, święta Rodzicielko Boża,
Znałaś to serce wielkie, skołatane!
Tobie on tylko, Jasna gwiazdo morza,
Każdą śmiertelną pokazywał ranę.
Skrzydłem ty orlem byłaś jemu w bitwie,
A prowadziłaś przed Boga w modlitwie....

Krótki był sen. Wnet zagrały trąby i z okrzykiem: Na Savannah! ruszyło się rycerstwo. Puławski jechał, przeczuwając swój zgon. Nastąpił on rzeczywiście w tej bitwie, lecz wprzód wódz polski w dzielnem natarciu przełamał zwycięsko Anglików szeregi.

I usypali mu grób pod Savannah,
I krzyż na grobie zatknęli brzozowy.

Poeta tak kończy swoję wzniosłą pieśń:

Niech cię przed Boga wiedzie święta Panna,
Tak jak ty w taniec wodziłeś bojowy;
A módl się za nas, niech nam Bóg obudzi
Takiego jak ty pośród wiernych ludzi.

Sen pana Bowblewicza, *Śmierć Levitoux* i *Dzieweczka* mają za przedmiot nowsze i najnowsze narodowe wypadki, i odznaczają się — mianowicie oba ostatnie utwory — formą pod każdym względem wykończoną.

Ojcowskie słowo dla wybornego ujęcia i wystawienia opiewanej rzeczy położyć można obok *Savannah* jako mały prześliczny klejnocik. Z rozległych dziejów rokoszu Zebrzydowskiego i Radziwiłła wybrał poeta jeden tylko promyczek, ale charakterystyczny. Jesteśmy w obliczu bitwy

pod Guzowem, w obozie królewskim. Sędziwy wojewoda Koniecpolski smutnie się zadumał, że mu walczyć przypadło z braćmi. Wtem przystąpił doń młodziuchny syn jego pan Stanisław, właśnie po raz pierwszy przyodziany w „wytęsknioną“ zbroję, mający przyjąć chrzest rycerski.

......Jutrzejsze śni boje,
Sni o sławie, miecz ściska w prawicy,
Piękna postać, a oko mu strzela
To piorunem, to blaskiem wesela.
Dwoje skrzydeł sterczących u ramion
Same, zda się, uniosą go w pole...

Z zadowoleniem spoczęło oko ojca na synu, przeznaczonym „na pociechę Koronie“; lecz gdy wspomniał, w jakiej on chwili stawiać miał pierwsze swe kroki do zasług w ojczyźnie, zadrżał: bo zaprawdę nie na karkach zbłąkanej braci przystało młodzieńcowi zaprawiać dłoń rycerską.

Na najezdników niech wasze mi rośnie,
Młodzież Polsce niech służy, nie zwadom!
Z braćmi walczyć ja ci nie pozwolę,
Wracaj — wracaj do gniazda sokole!

Kanonik Pstrokoński odnosi się do tej samej chwili dziejowej. Śród zaciętej walki między rokoszanami a królem Zygmuntem postrzegł prałat Pstrokoński, że chorąży trzymający sztandar, umykał na czele hussarzy przed zwycięskim hufem Radziwiłła. Tknęło to starca do żywego; więc mimo gradu kul leci ku pierzchającym, a dopadłszy ich, wyrwał z rąk przewodnika unoszoną chorągiew i podając ją krewniakowi,

Bratanku — woła — polska krew cię rodzi,
Dajże ty inny lot ptakowi temu!
Na wrogów nieś go waść, jako się godzi —
Z pól nie uciekać orłowi białemu!...

Zagrzany temi słowy młodzian zwrócił się wraz z hussarzami na Radziwiłłowskich — i w odnowionym boju legł rokosz złamany.*)

W *Śmierci Zyszki* odmalowana postać nie nasza, ale pokrewnego nam narodu. Utwor ten wszakże okazuje wybitnie tendencję, jaką poeta niejednokrotnie w rodzinnych uwydatniał bohatyrach, a prócz tego i z innych jeszcze względów łączy się treść jego z dziejami naszemi; wiadomo bowiem, że w wojnie Hussytów przeciw cesarzowi Zygmuntowi walczyli także Polacy pod wodzą księcia Zygmunta Korybuta. Na uwagę zasługują słowa konającego Zyszki:

Czesi, Morawcy, Polacy mili,
Serdeczny, druży narodzie!
W ostatniej bracia proszę was chwili:
Miłujcie wy się we zgodzie.

Największą z pomiędzy dum historycznych jest *Farys — nie Arab*. Artystycznem opracowaniem nie pozostawiającem nic do życzenia, stoi na jednej linji obok *Savannah* i *Ojcowskiego słowa*. Bohatyr pieśni to Wacław Rzewuski, ten sam, na którego cześć złożył Mickiewicz swego *Farysa*, a Słowacki jeden z najpiękniejszych wierszy. Psychologiczna strona tego rzadkiego charakteru narysowana przepysznie.

Gorąca dusza kipiała w nim z młodu,
A jednak bratniej unikał źrenicy,
Bo na imieniu miał klątwę narodu,
Klątwę za zdradę ojców w Targowicy.
I klął podłodze, że w głąb nie zapadła
W on czas, gdy matka w kolebkę go kładła;
Chmury przeklinał, ciągnące bez gromu,
Nad smętnym dachem przeklętego domu.

Ten ból i srom rzucały nim niespokojnie. Toż jak istny Farys-latawiec na wronym białonóżce gnał z wiernymi Kozakami w otchłań zielonego stepu — i zręcznie czasem udało się odbić jeńców pędzonych na Sybir. Wreszcie raz, „gdy w duszy stało mu się czarniej“, pożegnał zamek rodzinny i puścił się w świat, do posępnej Hellady i do ziemi zlanej krwią Zbawiciela, a stąd na step wolny, szeroki, gdzie z wiatrem „co palmy łamie“ mógł swobodnie hulać w zawody. Tu zatęsknił do swej Ukrainy, a zresztą i sen wieszczy wołał go do ojczyzny, bo wszakże

......grom już błyska na ostatnie boje!

Rzucając tedy gościnne plemiona, mówił do synów stepu:

.........Beduini!
Nie zapomnijcie Farysa w pustyni.

(C. d. n.)

Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

Czesław Pieniążek.

(*Ciąg dalszy.*)

Nadmieniwszy o urzędowem stanowisku Towiańskiego, powiedzieć tu wypada że w różnych czasach piastował godności: rejenta, sędziego i radcy sądowego: nie zerwał jednak z zawodem ziemianina i gospodarował na ojczystej grzędzie opuściwszy urząd. Ożeniwszy się, doczekał się licznej familji i na pozór wiódł życie normalne obywatela — ziemianina.

Z jednej strony czujność władz rossyjskich tamująca propagandę tej nowej ideji religijno-flozoficznej, z drugiej strony odporne zachowanie się Litwinów, przekonało snać Towiańskiego, że *„nemo propheta in patria“* — bo wyjeżdża co roku do wód zagranicznych, gdzie zapoznaje się z jenerałem Skrzyneckim — a wreszcie opuszcza z całą rodziną Litwę, około r. 1837 za paszportem, i przybywa do Poznania, aby pozyskać od razu prymasa Polski, którym był wówczas patrjotyczny Ks. Dunin. Zrazu zyskał sobie tam posłuch, bo wystąpił jako człowiek nabożny, i nie odsłonił od razu do dna swej doktrymy. Ks. arcybiskup dopuścił go do konferencji z sobą, ale też i przekonał się niedługo, że szlachcic litewski wcale zasadniczo odstępuje od dogmatów katolickich. Towiański rozwijać zaczął na tych konferencjach poglądy religijno-społeczne w sposób taki, że ks. Dunin spostrzegać się zdawał w marzycielstwie jego raczej pewne nachylanie się ku obłąkaniu umysłu, niżeli ku świadomej siebie herezji. Skutkiem tego, wzbronił mu na dal przystępu do siebie.

Naczelny wódz powstania, jenerał Skrzynecki, mieszkał wtedy w Brukselli. Biorąc na uwagę powyżej przytoczone świadectwo Dr. Cybulskiego, że Dr. Gut miał swego czasu wpływ na jenerała wywierać, może nie omylimy się mniemając, iż właśnie szwagier Towiańskiego, wskazał mu drogę do jenerała, że go popchnął na nią i z jenerałem zapoznał. Wiadomo że Skrzynecki wielce był religijnym, nabożnym, ale że też skłonnym był w granicach ortodoksji katolickiej, do mistycznych porywów. Zapewne ta okoliczność sprawiła, że Skrzynecki chętnie obcował dawniej z Towiańskim, a teraz dodała otuchy Towiańskiemu, gdy przybył do Brukselli. O tem wszystkiem pisze jenerał w listach swych do Mickiewicza. Między innemi donosi 12 kwietnia 1842.

„Ja niemam żadnej nienawiści do Andrzeja, owszem doznałem w jego towarzystwie i Gutta, to co tak rzadko na świecie się doświadcza, bo mogłem pośród niemi często duszę i serce wylać...“*)

Sposobności do tego nie brakło przedtem jenerałowi, bo przebywał z Towiańskim przez lat kilka, po parę miesięcy u wód czeskich. Poznał go tam „jako potulnego, poczciwego człowieka,“ ale spostrzegł w nim brak zasad chrześcijańskich, a nawet, że „nie wierzył w Bóstwo Chrystusa.“ To też teraz, gdy przybywszy do Brukselli uwiadomił go „klęcząc“ o celu swej podróży, serdecznie opamiętywał jenerał Towiańskiego i jego żonę i zalecał im usilnie, aby poszli do spowiedzi, —

„ale powstali oboje z takim gniewem i oburzeniem, żem nie mógł przyjść do słowa.“ (List do Mickiewicza z 3 kwietnia 1842)**)

Na niczem też skończyła się ta wizyta apostolska Towiańskiego.

Towiański wysoko sobie cenił doktrynę swoją i przekonany był najmocniej o jej doniosłości, — nie chciał więc pokątnie, lub u szarego końca społeczeństwa polskiego, rekrutować sobie uczniów. Zależało mu na tem, aby od razu stanąć na wyniosłości reformatora narodu i człowieczeństwa. Aby tego celu dopiąć, niezbędnem było pozyskać sobie przedewszystkiem jakąś poważną, wybitną w narodzie osobistość, którąby powagą swego stanowiska, doktrynie niejako uprawnienie nadała. Wiedział o tem dobrze, że z góry rzucona idea, łacniej rozleje się w massy, gdy ją koryfeusze narodu za swoją uznają, niż żeby miała z dołu przekopywać się przez szeregi maluczkich.

Gdy mu się przeto ani z powagą kościoła rzecz nie powiodła, ani z jenerałem do niczego nie doprowadził, zwrócił uwagę swą na Mickiewicza, który jako najznakomitszy polski poeta, a teraz i profesor na wielce wpływowej katedrze, piastował niejako „dyktaturę duchową w całym narodzie,“ jak się wyraża Małecki.

Od pozyskania Mickiewicza, zależały przyszłe losy apostolstwa Towiańskiego; od rezultatu w tym względzie było zawisłem, czy szlachcic litewski wejdzie w rachubę historji, czy wróci na zagon. W lipcu 1841 r. a więc w siedm miesięcy po objęciu profesury przez Mickiewicza, przyjeżdża do Paryża, staje przed poetą — mało co znany mu z kraju, i oświadcza: że z polecenia Bożego przybywa z ojczyzny, aby spełnić posłannictwo, jakie ma do niego, bo poczyna się już nowa era ludzkości, panowanie „nowej ewangelji, dni zmiłowania i litości Bożej — przedewszystkiem nad nami, a pośrednio przez nas i nad resztą narodów.“

---

*) Jest to zupełnie historyczne. J. Szujski tak pisze o tym wypadku: „Pstrokoński, kanclerz i biskup przemyślski, obiegał wojska na koniu; a widząc uciekającego chorążego królewskiego, wydarł mu sztandar, i oddając go siostrzeńcowi swemu zawołał: Nie ta droga dla orła polskiego; obróć go i nieś, gdzie nieprzyjaciel.“ Dzieje Polski tom III st. 192.

*) Korespondencje A. Mickiewicza. Paryż 1870. T. I str. 190.

**) Korespondencje Adama Mickiewicza. Paryż 1872. T. II str. 202.

Widzieliśmy już poprzednio, w jakich stosunkach znajdował się wówczas Mickiewicz, w jakim nastroju ducha żył na emigracji i jakie życiu tejże towarzyszyły okoliczności; rozpatrzymy się obecnie dokładniej w tem wszystkiem, a jeżeli rzecz się nie usprawiedliwi, to przynajmniej wytłumaczy, dlaczego Mickiewicz, ów „najsocjalniejszy genjusz tego wieku...“ „będący najwyższym wyrazem swojego wieku i narodu“*) uchylił przed Towiańskim czoła i uznał w nim zbawcę narodu.

„Zdaje mi się — powiada Małecki w kilkakrotnie przez nas wspomnianem dziele (T. II str. 210) — że kto tylko zastanawiał się nad duchem poezji Mickiewicza i nad jego życiem wewnętrznem, ten się ze mną zgodzi na to, że łączyły się w tym genjalnym człowieku, jakby dwie zgoła odrębne natury. Zazwyczaj był to mąż głębokiej myśli, trzeźwo poglądający na rzeczy — organizacja duchowo zdrowa, realna, zdolna zdać sobie świadomą sprawę ze wszystkiego, co tylko uczynił. Takim go też widzimy w jego listach, których zbiór zamieszczono w obu ostatnich dzieł jego wydaniach,**) a prócz tego też tu i owdzie po pismach perjodycznych. Ale Mickiewicz miewał w różnych chwilach żywota swego tajemnicze jakieś podrywy i zachwyty, które go przenosiły w stan taki, że tracił niejako z oczu wszystko, co jest rzeczywistem i wznosił się duchem do ekscentrycznych krain ekstazy. Wtedy nie w sensie retorycznej przenosni, lecz literalnie przestawał być poetą, a był wieszczem; z artysty przeistaczał się w narzędzie poezji, nie świadome tego, co czyni. Bywał w razach takich czasem duchem jasnowidzącym, niekiedy .....marzycielem nie biorącym za nic odpowiedzialności na się.“

„Tak np. Grażyna, Wallenrod, Pan Tadeusz itp. to były dzieła stworzone w normalem usposobieniu. Oda do młodości, Dziady, a zwłaszcza Dziadów „część trzecia“ — to owoc natchnienia, wyższego nad świadomość artysty.“

„Co się Dziadów tyczy, jest dowiedzionem, przyznanem przez samego poetę, że są tam ustępy, których zupełnego znaczenia on sam nie umiał sobie wyjaśnić.“

Bywały też w życiu jego wypadki, które mu poniekąd dawały prawo do wierzenia w przeczucia, jakie miewał; do takich wydarzeń policzyćby można następujące. „Wieść o wyjarzmieniu się listopadowem, zaskoczyła Mickiewicza w Rzymie na zebraniu u kardynała C. ministra spraw zagranicznych; gdy odczytano szczegóły depeszy i domniemywano się skutków, kardynał spróbował szukać wyroczni w biblji. Zapytał wówczas Mickiewicza, aby jako wieszcz wskazał — na której czytać karcie. On rzekł: Na stronicy prawej, wiersz trzeci. Kardynał odczytał. Był to ustęp, gdy na zapytanie Chrystusa zwrócone do kaleki przy sadzawce Betsaidy,ażali pragnie być uleczon, tenże mówi: *Domine, hominem non habeo.*“***) Przyznać trzeba, że nic się nie da trafniej zastosować do wypadków 1831 r.

Pomiędzy grudniem 1840 a lipcem 1841 r. dwie okoliczności wpłynęły stanowczo na rozwinięcie tej marzycielskiej strony charakteru poety. Pierwszą z nich było sprowadzenie zwłok Napoleona I i złożenie ich w tumie Inwalidów, na rozkaz króla Ludwika Filipa 15 grudnia 1840 r. dokonane, — drugą: choroba żony Mickiewicza, która w stan obłąkania popadła.

Sądzimy, że nie będzie to zboczeniem od rzeczy, jeżeli o tej pierwszej okoliczności pomówimy więcej, aniżeli to jedynie osoby Mickiewicza dotyczy, gdyż napoleonizm, nie tylko za pierwszy punkt styczny z Mickiewiczem posłużył Towiańskiemu, ale wchodzi w ogóle w rachubę messjanizmu w towiańszczyźnie ważną odgrywa rolę, a na sprawach naszych niezmiernie zaciężył.

Nigdzie takiego fanatyzmu nie wywołał dla siebie Napoleon, jak w Polsce. Jeżeli we Francji krocie armji zbiegało się do niego na jedno skinienie — i to w chwili, gdy gwiazda jego szczęścia zdawała się przepadać na zawsze, to przecież ani tradycja napoleońska, nie nabrała tam takiego **stałego** uroku poetycznego jak w Polsce, ani też ideje i czyny tego olbrzyma, nie doczekały się takiej apoteozy i jakby religijnego poszanowania. Gdyby odgrzebać w pamięci wspomnienia lat dziecięcych, pokazałoby się, że niemal pierwszem słowem, jakiem ojciec z ciekawem chłopięciem nawięzywał rozmowę — były imiona: Kościuszko, Książę Józef, Napoleon. Prawdziwie **uczono** chłopięta po szlacheckich dworach, czci dla Napoleona. Postać jego wyrasta nam z pierwszych wrażeń życia, jakby męczennika, co zbawić chciawszy nasz naród, poniósł męczeństwo wygnania. Wyrasta ona z tych wrażeń, prawie jakby z Chrystusem na jednym krzyżu rozpięta.

Im dalej od napoleońskiej epoki, im mniej tych, co chowali do mogił osiwiałych jego żołnierzy, im większy postęp nauk, i bystrzejszy rozum, a gasną tradycje i chłodną serca, — tem szybciej zaciera się ta cześć napoleonizmu w narodzie i dziś — zwłaszcza po Sedanie — już tylko anachronizmem się nazywa, a zjawia się intruzem, jakby archeologiczny pojęć zabytek.

Jeżeli więc do dni niemal naszych tak silną była ta napoleońska tradycja w narodzie, o ileż potężniejszą być musiała za poprzedniej generacji, która rodziła się, lub kołysała przy blasku tryumfów korsykańskiego Cezara?!

Widzieliśmy jakie mu stanowisko Wroński w swej filozofji naznaczył, a zupełnie według myśli tego filozofa, liczna u nas rozwinęła się literatura, apoteozująca napoleonizm w sposób najrozmaitszy. Pomijając wiele niesłychanie jaskrawych na to dowodów, zwrócimy jeno uwagę na trzech pierwszych poetów Polski. Słowacki np. uważa Napoleona za twórcę zupełnie nowej epoki człowieczeństwa, niejako epoki dopiero od niego istocie człowieka odpowiednej, bo Napoleon występuje u niego, jakby reprezentant jedyny człowieczeństwa.

„Bóg przez sześć dni wiekowych stwarzał ziemskie [ludy:
„W pierwszym dniu stworzył państwo modlące się [Judy:
„To była **ziemia** — na niej wyrosły narody.
W drugim dniu, porozlewał wschodnich ludów [**wody**,
W trzecim — jak **drzewa**, greckie wyrosły ple- [miona;
W czwartym dniu zaświeciło z gór Sokrata **słońce**;
W piątym — wzleciały orłów rzymiańskich zna- [miona,
To były **ptaki**; — a na dnia piątego końce
Padła noc wieków średnich, długa, zachmurzona.
W szóstym — **człowieka** zlepił Bóg: **Napo-** [**leona!**“*)

(C. d. n.)

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

Hałas żegotek wyrwał mnie z zamyślenia. Na ten skrzeczący głos śpiący księża poczęli wstawać; chmara służby weszła do zayatu i w jednej chwili rogoże zostały zwinięte i oparte o ściany, natomiast wniesiono stołki drewniane, ustawiono niskie stoły i ukazały się ogromne półmiski sypkiego ryżu, ułożonego w śnieżne piramidy. Każdy zajął swoje miejsce, wziął podaną sobie miseczkę z potrawką baranią i kolejno biorąc palcami z półmiska szczyptę ryżu maczał w sosie i jadł z wyrazem obojętności, dającej do myślenia, że albo ci ludzie nie są głodni, albo są nieczuli na potrzeby ciała.

Główną zasadą reguły budaizmu jest duch bezwzględnego posłuszeństwa, którym księża powinni być przejęci. Własna wola jest zupełnie zniesiona, a zatrudnienia podzielone z taką akuratnością, że nie przedstawiają najmniejszej wątpliwości co do zajęć dziennych. Każdy krok mają naprzód wytknięty, jasno oznaczone błędy, których się powinni wystrzegać, i z tych muszą się spowiadać przed swoimi przełożonymi lub współbraćmi. Głównych grzechów jest pięć; powszednie przechodzą liczbę dwustu. Pycha, kradzież, nierząd, zabójstwo i pijaństwo, nie zostają odpuszczonemi i pociągają za sobą natychmiastowe wydalenie z klasztoru. Spowiedź odbywa się podobnie do naszej; po skończonem wyznaniu daje ksiądz absolucję, wyznacza karę za grzechy, najczęściej modlitwy do odmawiania w nocy, i słowami: „Idź w pokoju i nie grzesz,“ odprawia spowiadającego.

Złożywszy przysięgę posłuszeństwa, księża powinni najdokładniej wypełniać zlecenia swych przełożonych, i gdyby przypadkiem przekroczyli rozkazy odebrane, winni się z tego spowiadać. Ubóstwa dopełniają nie mając nic własnego, i aby żyć, są zmuszeni zbierać jałmużnę. Przez wstrzemięźliwość jadają tylko dwa razy na dzień i to przed południem; potem nie biorą nic więcej do ust oprócz chłodzących napojów. Ogoleniem głowy i brakiem obuwia, czasem tylko zastąpionego ciężkiemi sandałami, wyznają pokorę. Nigdy nie starają się zwrócić na siebie uwagi, okrywają się kawałkiem materji jaką im dadzą, a zawsze w skromnej postawie, posuwają abnegację do ostatecznych granic. Wachlarzem zasłaniają się przed widokiem kobiet, których z największą ostrożnością unikają nie śmiąc nawet końcem palca tknąć się ich szaty, i nie wolno im pozostać z żadną ani na chwilę sam na sam, choćby z matką lub siostrą, które są zmuszeni uważać za obce. Słowem jedzą by nie umrzeć, i żyją umierając bezustannie. Przechodzą oni jedno tylko święcenie nadające kapłaństwo; mimo to stopnie godności w hierarchji duchownej są skrupulatnie przestrzegane. Nowicjusz *tchiung* odpowiada naszemu subdjakonowi, *patzing* djakonowi, *poonguy*

---

*) Łucjana Siemieńskiego: Adam Mickiewicz wspomnienie pozgonne. Kraków 1856.

**) Jest tu mowa o wydaniach: paryskiem 6cio tomowem z r. 1860—61 i lipskiem z r. 1862, które jest dosłownym przedrukiem poprzedniego. Po nich nastąpiły wydania paryskie dzieł, w r. 1868 i 1870, korespondencji zaś w r. 1870 i 1872.

***) Rozmaitości, dodatek do Gaz. lwowskiej z r. 1859. (Rozprawa K. Estereichera o Mickiewiczu) str. 338.

*) Kordjan akt III scena VI. (W wydaniu lipskiem str. 81 tomu 2go.)

proboszczowi, *raban* kanonikowi, *Tsaya* przeorowi, *Tsaya-dauh* biskupowi, lub prowincjałowi djecezji a *Thatanah-paing* jest naczelnym dyrektorem w sprawach religijnych całego kraju. Ponieważ w budaizmie nie ma żadnego węzła subordynacji, łączącego wzajemnie dygnitarzy duchownych różnych części kraju, ztąd pochodzi, że taki naczelny dyrektor, nie uwzględniając nad sobą żadnej innej władzy, przedstawia niejako papieża, co tłumaczy w Indjach liczne odszczepieństwa tej religji. W Chinach budaizm ucierpiał wiele od sąsiednich wyznań, mahometanizmu i judaizmu, także od roznoszonej szyzmatyckiej wiary chrześcijańskiej pierwszych wieków, jako też mglistej filozofji Konfutsego, i upadlającej niemoralności bonzów, kapłanów Chin i Japonji. W myśli zrównoważenia licznych żywiołów religijnych, wnuk Dżendżis Kana uznał za stosowne ustanowić w Tybecie, prowincji znacznie oddalonej od centrum państwa, rodzaj na pół świeckiej władzy papieskiej wyznania budajskiego, podzielonej na dwie głowy, z pozostawieniem sobie naczelnej opieki, trzymając w ten sposób budaizm w karbach niedozwalających wkroczyć mu w sprawy świeckie. W Birmanji tylko, gdzie duchowieństwo żyjąc zdaleka, i nie mięszając się w żadne sprawy cywilne, było podległe władzy politycznej, a przez nią szanowane, religja przechowała się w całej swojej pierwotnej czystości, w zgodzie z ustanowionemi przepisami zasługując na poszanowanie innych wyznań. Budaizm ma niezaprzeczenie wiele łączności z teokracją Egipcjan i mitologją Greków, w ceremonjach zaś i zwyczajach zbliżony jest bardzo do judaizmu, a w obrzędach liturgicznych przypomina katolicyzm. Podobnie jak żydzi, budyści mają arkę, przybytek święty, ofiary, świeczniki, przykazania. Z duchem dawnych korporacyj mnichów łączy ich sposób życia, reguły, zwyczaje, cel do jakiego dążą, środkami uświęcającemi.

Po skończonym posiłku, księża przybyli z sąsiedztwa, zeszli na dziedziniec i łączyli się z zakonnikami wychodzącymi jeden za drugim ze swoich cel. Niebawem dzwonki koronujące szczyt wieży, ozwały się tysiącem srebrzystych głosów i całe zgromadzenie ustawiło się w szeregi. Na czele kolumny szli nowicjusze, którzy mieli być wyświęceni, za nimi postępowali braciszkowie, księża, przełożeni, i w tym porządku z chorągwiami i różnemi godłami skierowali się ku głównym schodom pałacu biskupiego, przeciągając przez galerje do wnętrza *Tarah-yoom* (świątyni). Ściany świątyni były obwieszone blachami złotemi; wyniosły tron, na którym przewodniczył prowincjał, był ustawiony na środku tuż pod czworograniastą kopułą, która zdawała się sklepiać nad nim, oblewając pełnią światła bogato w złoto i srebro zdobne siedzenie. Kazalnica rzeźbiona w ażurowe wzory, dzieliła nawę na dwie części, a na małem wywyższeniu z desek poustawiane były pulpity, kandelabry i kadzielnice ze złota i srebra. Wreszcie ołtarz, w którym zawarte być miały popioły Gautamy albo Buddy, co jedno znaczy, wysadzany bogato drogiemi kamieniami znajdował się wprost siedzenia Tsaya-dauh.

Cisza głęboka panowała w sali rzęsiście oświetlonej; dzwonki po raz drugi zadźwięczały i drzwi od pokojów prowincjała rozwarły się na oścież, poczem ukazał się patrjarcha z infułą na głowie, z której spadały wstęgi naszywane kamieniami. Na piersiach zawieszony na złotym sznurze uwydatniał się czworograniasty kawał szkarłatnego aksamitu, na którym wyhaftowane było oko Opatrzności boskiej, a po nad niem trzymające się ręce oznaczały przezorność i siłę: jak paliusz naszych biskupów było to godło kapłaństwa i władzy. Trzej wikarjusze i wszyscy przełożeni klasztorów diecezji, otaczali patrjarchę, który sam jeden odznaczał się odmienną szatą i obuwiem, podczas gdy reszta była boso i jednakowo odziana. Gdy wstępował po stopniach swego tronu, oni zajęli miejsca w stalach ustawionych w półkole. Chwilę Tsaya-dauh pozostał w milczeniu w postawie wyrażającej skupienie ducha, następnie klasnął trzy razy w dłonie, dając znak rozpoczęcia ceremonji i wszyscy uklękli z czołem pochylonem ku ziemi. Wikary podał w srebrnem naczyniu wodę, patrjarcha skropił zgromadzenie, i śpiew choralny ozwał się przy poważnym akompanjamencie instrumentów.

Po skończonej pieśni prowincjał przemówił w krótkości, poczem Cambua-Tsaya otworzył jednę z ksiąg oprawnych w złoto, spoczywającą na pulpicie i przeczytał z niej rozdział tyczący się wyświęcenia, doniosłości tego aktu i łask, które z nim spływają. Odtąd Cambua-Tsaya był rzeczywistym celebrantem, prowincjał tylko swoją obecnością i przyzwoleniem podnosił ważność obrzędu. Nowicjusze kolejno przywoływani, po porządku ustawiali się koło estrady, celebrant zabierał głos i w słowach dobitnych przywodził im na pamięć obowiązki, które ich czekają: posłuszeństwo względem przełożonych, poświęcenie dla zakonu i reguły, rozwodząc się drobiazgowo nad czynami wzbronionemi. Następnie pytał każdego z osobna o wiek, miejsce urodzenia, i prawne pochodzenie, dalej o przedmioty niezbędnie potrzebne księżom, jako to: ubiór żółty, wachlarz, dzban, miseczkę na przyjmowanie ofiar, pasek skórzany, toporek, grubą igłę i jeszcze kilka innych rzeczy, między któremi był parasol papierowy, dla ochrony od palących promieni słońca i zimowych deszczów, sandały skórzane, drewniane kalosze i tym podobne drobiazgi. Po tej indagacji, skreślał szczegółowo obowiązki tyczące się użycia czasu, modlitwy, postów i pokory; wstrzemięźliwość i czystość były dobitnie przytoczone, tak że nikt tu nie mógł pozostać w błędzie. Największy jednak nacisk, i to słusznie, był położony na dowiedzenie się, czy przystępujący do wyświęcenia, zwolniony był z wszelkich obowiązków, czy miał przyzwolenie rodziców, i czy nie podpadał jakiej chorobie zaraźliwej, dziedzicznej lub osobistej. Nowicjusz odpowiadał w języku pali*) formułą podobną jak w rytuałach katolickich. Cambua-Tsaya po skończonem przesłuchaniu każdego nowicjusza z osobna, zapytywał prowincjała i duchowne zgromadzenie, czy nie mają nic przeciwko przyjęciu obecnego kandydata; milczenie było znakiem przyzwolenia. Wtedy nowicjusz kłaniał się zgromadzeniu, przystępował do stopni tronu biskupiego, oddawał pokłon zwany shikoo, i wygłaszał ślub posłuszeństwa, pokory i czystości, przyrzekając uważać klasztor za swoje schronienie, żółtą *tsiaurę*, za jedyny strój, a Tsaya-dauh za swego przełożonego i pana we wszystkiem. W tej chwili Cambua-Tsaya oznajmiał przyjęcie nowicjusza do rzędu księży, poczem nowo wyświęcony powracał na swoje miejsce.

*) Język ludowy, w którym spisane zostały z kazań i nauk Buddy księgi Sutra.

Ceremonja nadawania wyższych stopni duchownych, była już mało znaczącą formalnością, tylko przy wyniesieniu rahan'ow na godność Tsay'ów nie wikarjusz, lecz prowincjał osobiście celebrował; co się zaś tyczy stopnia naczelnego władcy duchowieństwa Thatanah-Paing, ten nadaje sam monarcha. Czterech czy pięciu było przeorów do wyświęcenia, prowincjał stosując się do reguły zapytał zgromadzenie czy nie ma nic przeciwko przyjęciu kandydatów na godność Tsay'ów i w krótkości zakończył ceremonje. Nastąpiły znów śpiewy, kadzidła wzniosły się obłokami w górę, a gdy pieśń ustała, Cambua-Tsaya wszedł na kazalnicę, i głosem czystym a silnym bez żadnych gestów teatralnych, z rękoma złożonemi na piersi, rozwinął w pięknej mowie temat jednej z legend księgi Sutra. Prowincjał przez nadzwyczajny wzgląd dla mówiącego zszedł ze swojego wywyższenia i czy żeby lepiej słyszeć każącego, czy przez uznanie wyższości słowa nad godnością i władzą, usiadł w jednej stali na przeciwko ambony. Po zakończeniu mowy Cambua-Tsaya zszedł ze stopni kazalnicy, Tsaya-dauh uściskał go i zająwszy miejsce na swojem krześle, uderzył w dłonie, zgromadzenie uklękło, zabrzmiał śpiew choralny, obecni raz jeszcze zostali skropieni wodą i patrjarcha, w tym samym porządku co przy wejściu, opuścił przybytek.

Siedziałem pogrążony w zamyśleniu; Tsaya potrącił mię z lekka i wyszliśmy razem. Wspólną wieczerzę zastawiono w galerji kyungu, braciszkowie, księża, mędrcy pod przewodnictwem Tsayi spożywali baraninę z ryżem, gołębie duszone z soczewicą, różne jarzyny w maśle i prawdziwą obfitość owoców. Za napój służyła nam woda słodzona z zapachem, bądź cytryny, bądź benzoesu; była to prawdziwa biesiada anachoretów, porządek i cisza wprawiały mnie w zdumienie. Siedziałem obok Tsayi. Korzystając z tego półgłosem zacząłem rozpytywać się prosząc go o wyjaśnienie, czemu pycha była w rzędzie grzechów powodujących natychmiastowe oddalenie, zarówno z kradzieżą, pijaństwem, zabójstwem i tym podobnemi zbrodniami, i do jakiego użytku służyć miało lekarstwo, często wspominane podczas ceremonji i zalecone przez księgę reguł klasztornych, które składało się głównie z soku cytryny lub innego kwaskowatego owocu.

— Towarzystwo opierające się na pokorze i bezwzględnem posłuszeństwie — odrzekł mi Tsaya — nie miałoby szansy bytu, gdybyśmy bez miłosierdzia nie karcili próżnej pychy; to też liczymy trzy tysiące lat istnienia. Co się zaś tyczy wspomnianego medykamentu służy on do rozpędzenia wrzodów, gruczołów i wszelkich nabrzmiałości powodowanych przez humory; na zwykłe rany używany maści z miodu, masła, któremi obdarzają nas pobożne dusze, a na zaziębienie i wywołanie potów, jest skuteczny wywar z goździków gałki muszkatołowej albo cynamonu. Te lekarstwa nie są drogie i uwalniają klasztor od nudnych a kosztownych zajęć w pielęgnowaniu chorych i doprawianiu lekarstw.

Tak praktyczne zapatrywanie zamknęło mi usta i pytałem się w duchu, jak mogą ludzie do tego stopnia posunąć zaparcie się siebie.

(C. d. n.)

Niewinna.

Klęczał przed nią — i w zachwycie,
Grą ognistych słów
Coś wspominał o „błękicie“
O „aniele snów!“

Ona była tym aniołem,
Ale obraz ten
Czarodziejskich marzeń kołem
Trwożył go jak sen...

Trwożył. by się nie rozwiała
Jako ranna mgła.
Bał się, by nie uleciała
Czarodziejka ta.

Myślał, że jest w niebo-wzięta,
Wiotka jako puch;
Że na ziemię zeszła święta,
I zniknie jak duch.

Ona główkę swą oparła
O młodzieńca skroń —
Usta usty swemi zwarła,
I... złożyła broń.

Ach! nie dziwcie się niewinnej!
Cudne dziewcze to
Chciało w wierze swej dziecinnej
Uspokoić go...

Wenecja 1876.

Janina z Z.. Ł...

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tajemnica.

Rozdział XII.

(Ciąg dalszy.)

(Opowiadanie Ayrtona. — Zamiary jego dawnych towarzyszy — Zajęcie przez nich zagrody. — Wykonawca sprawiedliwości na wyspie Lincolna. — „Bonawenura.“ — Poszukiwania naokoło góry Franklina. — Wyższe doliny. — Huk podziemny. — Odpowiedź Pencroffa. — W głębi krateru. — Powrót.)

Cóż się więc stało? Kto zadał cios śmiertelny korsarzom? Czy Ayrton? Nie, ponieważ przed chwilą jeszcze obawiał się ich powrotu!

Ale Ayrton znajdował się w danej chwili pod władzą tak głębokiego snu, że go wyrwać zeń nie było podobna. Po kilku wymówionych przed chwilą słowach, opanowało go ogólne przytępienie władz, i bez ruchu upadł napowrót na łóżko.

Osadnicy, szarpani tysiącem sprzecznych myśli, w gwałtownem naprężeniu przebyli noc, nie opuściwszy ani na chwilę domu Ayrtona i nie zajrzawszy już na nowo do ciał pobitych korsarzy. O okolicznościach, które towarzyszyły śmierci tych nieszczęśliwych, prawdopodobnie Ayrton nie mógłby im nic powiedzieć, nie wiedział bowiem nawet, że sam się znajduje w domu mieszkalnym w zagrodzie. Umiałby jednak może opowiedzieć im fakta, które poprzedziły tę straszliwą egzekucję.

Nazajutrz Ayrton wyszedł nieco z owego stanu otępienia, i towarzysze objawili mu w serdecznych słowach radość swoją, że go znów widzą, prawie zdrowym i całym po stu czterech dniach rozdzielenia.

Wówczas Ayrton opowiedział im w krótkich słowach, co się stało, o tyle przynajmniej, o ile mu było wiadomo.

Nazajutrz po przybyciu jego do zagrody, 10go listopada, zaskoczyli go znienacka, pod noc korsarze, wdarłszy się przez wierzch ogrodzenia. Związali go i zakneblowali, a następnie uprowadzili z sobą do jakiejś jaskini, u stóp góry Franklina, gdzie mieli schronienie.

Śmierć jego była postanowiona; na drugi dzień mieli go już zabić, gdy naraz jeden z rozbójników poznał go i nazwał po imieniu, jakie nosił niegdyś w Australji. Nędznicy ci chcieli zamordować Ayrtona! Dla Ben Joyce'a uczuli pewne względy!

Od tej chwili jednak Ayrton stał się przedmiotem nieustannych nalegań i namów ze strony dawnych wspólników. Chcieli go przyciągnąć znowu do siebie, liczyli na niego, że im pomoże owładnąć Pałacem Granitowym, dostać się do tej niedostępnej warowni — i że przy jego pomocy staną się panami wyspy, wymordowawszy pierwej osadników!

Ayrton opierał się. Dawny korsarz, żałujący i przyjęty do grona ludzi uczciwych, raczej byłby umarł, aniżeli zdradził nowych towarzyszy.

Związany tedy, skrępowany i pilnowany czujnie, przeżył w tej jaskini cztery miesiące.

Wśród tego korsarze, którzy odkryli zagrodę zaraz prawie po przybyciu swojem na wyspę, karmili się złożonemi w niej zapasami, ale dotychczas jeszcze nie mieli odwagi w niej zamieszkać. 11go listopada dwóch z pomiędzy tych rozbójników, zaskoczonych przez niespodziane przybycie osadników, strzeliło do Harberta i jeden z nich powrócił, przechwalając się, że zabił któregoś z mieszkańców wyspy. Powrócił jednak tylko sam. Towarzysz jego, jak wiemy, padł od sztyletu Cyrusa Smitha.

Można sobie wystawić niepokój i rozpacz Ayrtona na wieść o śmierci Harberta. Osadników było już tylko czterech i niejako na łasce korsarzy!

W skutek tego zdarzenia, przez cały czas, w którym choroba Harberta zatrzymywała osadników w zagrodzie, korsarze nie ruszyli się ze swojej jaskini i po spustoszeniu nawet Wielkiej Terasy nie uważali za rzecz roztropną opuścić tę kryjówkę.

Obejście ich jednak z Ayrtonem stało się jeszcze sroższem. Na rękach jego i nogach dotychczas można było jeszcze widzieć krwawe ślady więzów, któremi dzień i noc był skrępowany. Lada chwila oczekiwał na śmierć, której zdawało się, że żadną miarą nie ujdzie.

Tak stały rzeczy aż do trzeciego tygodnia miesiąca lutego. Korsarze czatując wciąż na pomyślną sposobność, rzadko opuszczali swą kryjówkę i zrobili zaledwie kilka wycieczek myśliwskich, bądźto w głąb wyspy, bądź też w stronę jej południowego wybrzeża. Ayrton nie miał już najmniejszej wieści o swoich towarzyszach i stracił wszelką nadzieję zobaczenia ich kiedy znowu!

Wreszcie, osłabiony straszliwem obchodzeniem się korsarzy, zapadł w głębokie otępienie i nic już nie widział, ani nie słyszał. Od tej też chwili, to jest od dwóch dni, nie mógł powiedzieć, co się działo.

— Jednakże, panie Smith — dodał — byłem uwięziony w jaskini, jakżeż więc się to stało, że jestem tu, w zagrodzie?

— A jak się to stało, że korsarze leżą trupem, tu wewnątrz ogrodzenia? — odpowiedział korespondent.

— Trupem? — zawołał Ayrton, mimo całego osłabienia zrywając się na pół z łóżka.

Towarzysze go podtrzymali. Chciał się koniecznie podnieść, na co mu wreszcie pozwolono i tak wszyscy udali się ku strumyczkowi.

Był już dzień biały.

Na wybrzeżu, w pozycji, w jakiej ich zaskoczyła śmierć, widocznie piorunująca, leżało pięć trupów korsarzy!

Ayrton stał w osłupieniu. Cyrus Smith i towarzysze spoglądali nań, nie mówiąc ani słowa.

Na znak dany przez inżyniera, Nab i Pencroff zabrali się do obejrzenia tych ciał już zesztywniałych śmiertelnie.

Nie było na nich śladu żadnej widocznej rany.

Dopiero po bardzo uważnem zbadaniu ich, postrzegł Pencroff na czole u jednego, u drugiego na piersiach, u trzeciego na plecach, u czwartego na szyi maleńki czerwony punkcik, rodzaj zaledwo widocznej kontuzji, której pochodzenia niepodobna było rozpoznać...

— Tu ich ugodzono! — rzekł Cyrus Smith.

— Ale jakąż bronią?...

— Bronią piorunującą, której tajemnica nam nie znana!

— I któż ich spiorunował? — spytał Pencroff.

— Wielki wykonawca sprawiedliwości na wyspie — odrzekł Cyrus Smith — ten sam, który przeniósł tutaj Ayrtona, którego władzę dobroczynną uczuliśmy znowu, który robi dla nas, czegobyśmy sami nigdy dokonać nie zdołali, a zrobiwszy, ukrywa się przed nami.

— Szukajmy go więc! — zawołał Pencroff.

— Tak, szukajmy go — odrzekł Cyrus Smith — ale nie znajdziemy tej wyższej istoty, spełniającej takie cuda, pierwej, aż się jej podoba nas do siebie powołać!

Ta tajemnicza opieka, sprowadzająca do nicości ich własną działalność, drażniła i wzruszała zarazem głęboko inżyniera.

Poczucie ich względnej niższości, wypływające z tych faktów, było tego rodzaju, że dumna dusza mogła się czuć dotkniętą. Wspaniałość, objawiająca się w taki sposób, aby uniknąć wszelkiej oznaki wdzięczności, zdradza rodzaj pogardy dla protegowanego, pogardy, która poniżała do pewnego stopnia w oczach Cyrusa, wartość dobrodziejstw nieznajomego.

— Szukajmy — ciągnął dalej — i daj Boże, abyśmy kiedyś mogli dowieść temu pysznemu opiekunowi, że miał do czynienia nie z niewdzięcznikami! Cóżbym dał za sposobność odpłacenia mu się, jakąś wielką przysługą, choćby z narażeniem naszego życia!

Od tego dnia, poszukiwanie nieznajomego stało się jedynym celem zajęcia osadników wyspy Lincolna. Wszystko popychało ich do odkrycia słowa tej zagadki, słowa, które zaiste mogło być tylko imieniem człowieka obdarzonego prawdziwie niepojętą, nadludzką prawie potęgą.

Po kilku chwilach osadnicy powrócili do domu, kędy starania ich przywróciły wkrótce Ayrtonowi energję moralną i fizyczną.

Nab i Pencroff przenieśli trupy do lasu, na pewną odległość od zagrody, i pogrzebali je tam głęboko.

Następnie opowiedziano Ayrtonowi wszystko,

co zaszło podczas jego uwięzienia. Dowiedział się o przygodach Harberta i o wszystkich próbach, przez jakie osadnicy przeszli. Co do nich, stracili już całkiem nadzieję zobaczenia go kiedykolwiek znowu, sądząc, że go spotkała niemiłosierna śmierć z rąk korsarzy.

— A teraz — ozwał się Cyrus Smith, kończąc swoją opowieść — pozostaje nam pewien obowiązek do spełnienia. Połowy naszego zadania już dokonaliśmy; jednak, że korsarzy obawiać się już nie potrzebujemy i żeśmy się na nowo stali udzielnymi panami wyspy — nie sobie to jesteśmy winni!

— Przejrzyjmy więc — rzekł Gedeon Spilett — cały ów labirynt skał i kotlin góry Franklina. Nie opuśćmy jednego wgłębienia, jednej jamki! Ah! jeżeli kiedykolwiek bądź korespondent jaki znajdował się wobec poruszającej do głębi tajemnicy, to na pewne ja nim jestem, przyjaciele moi!

— I nie powrócimy do Pałacu Granitowego — odrzekł Harbert — aż znalazłszy naszego dobroczyńcę.

— O tak! — rzekł inżynier — nie zaniedbamy niczego, co tylko jest w mocy ludzkiej.... a jednak powtarzam wam, że nie znajdziemy go, aż sam tego zechce!

— Czy pozostaniemy w zagrodzie? — spytał Pencroff.

— Pozostaniemy — odrzekł Cyrus Smith — zapasów tu obficie, a co najgłówniejsze, jest to niejako środek okręgu naszych poszukiwań. Zresztą, jeśli zajdzie konieczna potrzeba, wózek może pospieszyć do Granitowego Pałacu.

— Dobrze — odpowiedział marynarz. — Ale jeszcze jedna uwaga...

— Jaka?

— Piękna pora roku nadchodzi, a nie trzeba zapominać, że mamy przed sobą wycieczkę morską...

— Wycieczkę morską?... — spytał Gedeon Spilett.

— A tak! na wyspę Tabor — odpowiedział Pencroff. — Niezbędnem jest, zostawić tam notatkę wskazującą położenie naszej wyspy, na której znajduje się obecnie Ayrton, a to na przypadek, gdyby yacht szkocki po niego przybył. Kto wie, czy już i tak nawet nie zapóźno?

— Jakżeż jednak, Pencroffie — spytał Ayrton — zamierzasz odbyć tę wycieczkę?

— Na „Bonawenturze!"

— Na „Bonawenturze!" — zawołał Ayrton... — Już go nie ma...

— Co, mojego „Bonawentury" nie ma! — zaryczał Pencroff podskoczywszy.

— Niestety! — odrzekł Ayrton. — Korsarze odkryli go w małej zatoczce, przed ośmiu dniami zaledwie, spuścili na morze i..

— I?... — zawołał Pencroff, z bijącem sercem...

— I nie mając pomocy Boba Harveya do kierowania nim, wpadli na skały, tak, że statek rozbił się do szczętu!...

— Ach, nędznicy! zbóje! podłe łotry! — wrzeszczał Pencroff.

— Pencroffie — ozwał się Harbert biorąc go za rękę — zrobimy drugiego „Bonawenturę" i to na większą skalę. Wszak mamy wszystko żelaziwo i całe ożaglowanie brygu do rozporządzenia?

— Czy wiecie jednak — odrzekł Pencroff — że potrzeba najmniej pięciu do sześciu miesięcy na zbudowanie statku o trzydziestu do czterdziestu tonnach.

— Znajdziemy czas — odpowiedział korespondent — na ten rok wyrzekniemy się wycieczki na wyspę Tabor.

— Cóż robić, Pencroffie — rzekł inżynier — trzeba się poddać konieczności, a mam nadzieję, że opóźnienie to nie przyniesie nam żadnej szkody.

— Ach, mój „Bonawentura!" mój biedny „Bonawentura!" — jęczał Pencroff, widocznie mocno dotknięty stratą statku, którym się tak pysznił.

Zniszczenie „Bonawentury" zresztą było faktem istotnie smutnym dla osadników i dla tego postanowiono naprawić tę szkodę co rychlej. Powziąwszy to postanowienie, zajęli się wszyscy już tylko jedną myślą, to jest doprowadzeniem do skutku zamierzonego zbadania najskrytszych części wyspy.

Rozpoczęto poszukiwania już tego samego dnia, 19go lutego i prowadzono je przez cały tydzień. Podstawa góry, zawarta pomiędzy bocznemi ścianami i ich licznemi rozgałęzieniami, stanowiła labirynt dolin i kotlin rozrzuconych bardzo kapryśnie. A jednak tam to widocznie, w głębi tych wąskich wąwozów, kto wie, może nawet w samym środku góry należało rozpocząć najgorliwsze poszukiwania. Żadna część wyspy nie nadawała się bardziej na kryjówkę, której mieszkaniec chciałby pozostać nieznanym. Takie jednak było poplątanie i pokrzyżowanie tych ścian bocznych góry, że Cyrus Smith uznał, iż w zbadaniu ich potrzeba się oprzeć na surowej metodzie.

Zwidzili tedy osadnicy najprzód całą dolinę, rozpościerającą się na południe wulkanu i przyjmującą w siebie pierwsze wody potoku Katarakty.

Tutaj pokazał im Ayrton jaskinię, w której ukrywali się korsarze i gdzie go trzymali, aż do chwili przeniesienia do zagrody. Jaskinia ta znajdowała się zupełnie w tym stanie, jak ją Ayrton pozostawił. Znaleziono w niej jeszcze pewną ilość amunicji i zapasów żywności, które korsarze zabrali z zagrody w celu utworzenia sobie tutaj rezerwy.

Cała przytykająca do tej groty dolina, ocieniona pięknemi drzewami, pomiędzy któremi przemagały szyszkowce, zbadana została z jak największą troskliwością. Następnie zaś, po okrążeniu ściany południowo-zachodniej zapuścili się osadnicy w węższy wąwóz, kończący się ową malowniczą gromadą bazaltów na wybrzeżu.

Tu drzewa były rzadsze. Kamień zastępował roślinność. Dzikie kozy i barany przeskakiwały po skałach. W tem miejscu rozpoczynała się bezpłodna część wyspy. Można było już rozpoznać, że z owych licznych dolin, rozgałęziających się u podstawy góry Franklina, trzy tylko były lesiste i obfitujące w pastwiska, jak dolina zagrody, granicząca na zachód z doliną Potoku Katarakty, a na wschód z doliną Czerwonego Potoku. Dwa te strumienie, niżej zamieniające się w rzeki po przyjęciu kilku przytoków, utworzyły się ze wszystkich wód góry i stanowiły źródło żyzności jej części południowej. Co do Dziękczynnej, ta brała zasiłek bardziej bezpośrednio od obfitych źródeł znanych w głębi lasów jakamarowych, i takiejże samej natury źródła, sączące się tysiącem nici, zraszały grunt półwyspu Wężowego.

Otóż z tych trzech dolin, gdzie wody nie brakło, jedna mogła służyć za schronienie jakiemuś samotnikowi, mogącemu w niej znaleść wszystko co niezbędne do życia. Przejrzawszy je jednak najstaranniej, nie znaleźli nigdzie osadnicy ani śladu obecności człowieka.

— Czyżby więc w głębi owych bezpłodnych wąwozów, w pośród obsuszonych skalisk, szorstkich głazów i zastygłych potoków lawy na północy, miało się znajdować schronienie nieznajomego?

Północna część góry Franklina składała się jedynie u podstawy swojej z dwóch dolin, szerokich, niezbyt głębokich, pozbawionych zieleni, zasianych urwanemi skałami, poprzerzynanych szczelikami głębokiemi, wybrukowanych lawami, pełnych nierówności mineralnych, posypanych labradorytami. Część ta wymagała długich i trudnych poszukiwań. Mnóstwo tu istniało wgłębień, niezbyt wygodnych zapewne, ale ukrytych doskonale i niezmiernie trudny mających przystęp. Osadnicy zwidzili nawet owe mroczne tunele, datujące się z epoki plutonicznej, zaczernione jeszcze od owoczesnych ogni, a wchodzące w rdzeń samej góry. Przebiegli te ponure galerje, przy pomocy zapalonych gałęzi żywicznych, zajrzeli do najmniejszych zagłębień, wysondowali każdy otwór. Wszędzie panowało milczenie i ciemność. Nie zdawało się, żeby kiedykolwiek jakaś istota ludzka stąpała po tych odwiecznych korytarzach, ażeby ramię czyje usunęło kiedykolwiek jeden z tych głazów. W tym stanie, w jakim były obecnie, wyrzucone zostały przez wulkan nad wody, w epoce powstania wyspy.

Jednakże, jakkolwiek te podziemne chody były całkiem puste i zalane głęboką ciemnością, milczenie w nich przecież, jak się o tem przekonał Cyrus Smith, nie panowało zupełne.

Dotarłszy do głębi jednego z tych mrocznych wydrążeń, rozciągających się na wiele stóp wewnątrz góry, inżynier usłyszał z podziwem głuchy grzmot, którego odgłos potężniał jeszcze dźwięcznem echem skał otaczających.

Gedeon Spilett, towarzyszący mu wtedy, pochwycił również ten huk daleki, wskazujący na rozbudzenie się ogni podziemnych. Po kilkakroć obadwaj nadstawiali ucha i zgodzili się wreszcie na to, że jakaś reakcja chemiczna wyrabia się we wnętrznościach ziemi.

— Wulkan więc, jak się pokazuje, nie wygasł zupełnie? — ozwał się korespondent.

— Bardzo być może — odrzekł Cyrus Smith — że od czasu gdyśmy badali krater, jakaś zmiana zaszła w niższych warstwach wulkanu. Widocznie, każdy wulkan, pomimo pozornego wygaśnięcia, może zbudzić się na nowo.

— Jeżeli jednak zabiera się na wybuch góry Franklina, czy nie zagraża to jakiem niebespieczeństwem wyspie Lincolna? — spytał Gedeon Spilett.

— Nie zdaje mi się — odpowiedział inżynier. — Krater, czyli, co na jedno wychodzi, klapa bezpieczeństwa, stoi otworem, nadmiar więc gazów i law wyleje się, jak niegdyś swoją zwykłą drogą.

— Żeby tylko te lawy nie utorowały sobie nowego przejścia ku żyznym częściom wyspy.

— A to czemu? mój drogi Spilecie — odrzekł Cyrus Smith — dla czegożby nie miały popłynąć naturalnie nakreśloną im drogą.

— E!... te wulkany są kapryśne! — rzekł korespondent.

— Zauważ tylko — odpowiedział inżynier — że pochyłość całej masy gór Franklina sprzyja

wylewowi materji wulkanicznych ku dolinom, które obecnie zwidzamy. Chybaby jakieś trzęsienie ziemi zmieniło środek ciężkości góry, ażeby i kierunek wylewu się zmienił.

— Ależ w podobnych warunkach zawsze obawiać się można trzęsienia ziemi — zauważył Gedeon Spilett.

— Zawsze — odpowiedział inżynier — a szczególniej gdy siły podziemne poczynają się budzić i wnętrznościom globu zagraża zatkanie wskutek długiego spokoju. To też, mój drogi Spilecie, wybuch byłby dla nas faktem wielkiej doniosłości, i kto wie, czy nie byłoby lepiej, ażeby naszemu wulkanowi nie przyszła ochota ocknięcia się na nowo. Nie w mocy naszej jednak temu zaradzić, nieprawdaż? W każdym razie jednak, nie zdaje mi się, ażeby naszemu siedlisku na Wielkiej Terasie coś naprawdę zagrażać mogło. Pomiędzy niem a górą grunt jest znacznie wgłębiony, gdyby więc kiedykolwiek lawy skierowały się ku jezioru, pozycja odrzuci je gwałtownie na ławice piaskowe i części sąsiadujące z zatoką Rekina.

— Dotychczas jednak nie widzieliśmy na szczycie góry najmniejszego dymu, zapowiadającego bliski wybuch — ozwał się Gedeon Spilett.

— Istotnie — odparł Cyrus Smith — z krateru nie wznosi się najlżejszy dymek, a obserwowałem szczyt jego dziś właśnie. Może być jednak, że w niższych częściach komina czas nagromadził skał, popiołu, law stwardniałych i że owa wspomniana przezemnie „klapa“ zostaje na chwilę pod zbyt wielkim naciskiem. Przy pierwszem jednakże potężniejszem wysileniu, wszelkie przeszkody znikną i możesz być pewnym, kochany Spilecie, że ani wyspa będąca kotłem, ani wulkan służący za komin, nie pękną pod naciskiem gazów. Bądź co bądź jednak, powtarzam, że byłoby lepiej, gdyby się odbyło bez wybuchu.

— A jednakże zmysły nas nie łudzą — odparł korespondent. — Słychać przecież wyraźnie głuchy huk w samem wnętrzu wulkanu.

— W istocie — odrzekł inżynier, nastawiwszy raz jeszcze uszy z wytężoną uwagą — w istocie niepodobna, abyśmy się mylili... Tam odbywa się reakcja której doniosłości ani ostatecznego rezultatu nie możemy ocenić.

Po wyjściu i odnalezieniu towarzyszy, Cyrus Smith i Gedeon Spilett zawiadomili ich o nowym stanie rzeczy.

— Hę! — zawołał Pencroff. — Temu wulkanisku zbiera się na figle!... Niech no tylko sprobuje!... Trafi na swojego!...

— Na kogóż to? — spytał Nab.

— Na naszego genjusza, Nabie na naszego genjusza, który mu zaknebluje krater w tej samej chwili, gdy go będzie chciał rozdziawić!...

Jak widzimy, zaufanie marynarza do specjalnego bóstwa wyspy nie miało granic i zaiste, tajemnicza potęga, zaznaczona dotychczas tylu niepojętemi faktami, wydawała się również bezgraniczną, i w tem nawet, że zdołała ujść najtroskliwszym poszukiwaniom osadników, tak, że pomimo wszelkich wysileń, mimo gorliwości więcej, zaciętości prawie swoich poszukiwań, dotychczas nic przecie zupełnie odkryć nie zdołali.

Od 19 do 25 lutego, rozszerzono okrąg poszukiwań na całą okolicę północną wyspy Lincolna i przetrząśnięto najtajniejsze jej zakątki. Osadnicy nasi doszli wreszcie tak daleko, że opukiwali każdą skalistą ścianę, jak gdyby mury podejrzanego domu. Inżynier zdjął nawet nader ścisły plan całej góry i posunął poszukiwania aż do ostatnich krańców jej podstawy. Zbadano ją również i na wysokości odtrąconego stożka, kończącego pierwsze piętro skał, a następnie aż do kresów owego olbrzymiego kapelusza, w głębi którego otwierał się krater.

Więcej jeszcze: zwidzono gardziel krateru dotąd przygasłą, w głębi której jednak huk wyraźnie słyszeć się dawał. Ani trochę dymu jednakże, ani najmniejsze rozgrzanie ściany, nic słowem na zewnątrz, nie wskazywało bliskiego wybuchu... Ale ani tu, ani w jakiejkolwiek innej części góry Franklina osadnicy nie znaleźli śladów tego, którego szukali.

Wówczas zwrócono poszukiwania w okolice ławic piasku. Przejrzano troskliwie wysokie mury lawowe zatoki Rekina, od podstawy do szczytu, pomimo niezmiernej trudności dotarcia do samego poziomu zatoki. Nic i nic!...

Te dwa słowa streszczały w sobie tyle trudów straconych marnie, tyle wytrwałości bezowocnej, że rodzaj gniewu przymięszał się do uczucia zawodu w duszy Cyrusa Smitha i jego towarzyszy.

Trzeba tedy było pomyśleć o powrocie, bo ta szukanina nie mogła się przedłużać w nieskończoność. Osadnicy mieli zaiste prawo do uwierzenia, że tajemnicza owa istota nie znajdowała się na powierzchni wyspy i najszaleńsze hypotezy uczepiły się pobudzonej ich wyobraźni. Nab szczególniej i Pencroff nie poprzestając już na osobliwości zdarzenia, dawali się unosić w świat nadprzyrodzony.

D. 25 lutego osadnicy powrócili do Pałacu Granitowego i za pośrednictwem liny złożonej we dwójkę a przerzuconej przez próg za pomocą strzały, przywrócili komunikację pomiędzy pomieszkaniem swojem a ziemią.

W miesiąc później, 25 marca witali trzecią rocznicę swego przybycia na wyspę Lincolna.

(C. d. n.)

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Dziwnym był stan duszy Edmunda po rozmowie z opiekunem, i nie łatwym do ujęcia. Opuściwszy sypialnię nie poszedł do swego pokoju; mimowoli skierował kroki ku aleji ogrodowej. Chłód nocy sierpniowej orzeźwił głowę, po której myśli chaotycznie wirowały, przywołując ją do zupełnej przytomności.

To co się stało przed chwilą, było dlań jakby snem tylko. I nie mogło być inaczej. Wypadki następowały po sobie tak szybko, a zaskoczyły go tak nieprzygotowanym, że dopiero teraz mógł zrozumieć, co się stało, i zastanowić się nad tem, czy dobrze się stało.

— Oświadczyłem się... Tonia będzie moją żoną!

Oto co mu w duszy brzmiało. Oto postanowienie do którego tak nagle skłonił go major, a skłonił po swojemu, czego Edmund nigdy się nie spodziewał. Edmund mając zaledwie lat dwadzieścia cztery, nie był jeszcze we wieku, w którym mężczyzna zastanawia się zimno nad swoją przyszłością. Jeżeli o czem dotąd myślał, pewnie najmniej o małżeństwie. Świat miał dlań tyle jeszcze powabów, tyle tajemnic, z których nie zerwał zasłony ręką zuchwałą, że w sprawie małżeństwa nie mógł szczerze zimno rozważać, jak ten, który widząc się u kresu marzeń, pragnie spokojnego życia w kole rodzinnem. Z Tonią wychował się, kochał ją szczerze — ale do dziś... tylko jak siostrę. Lecz może właśnie dlatego, że wiecznie miał ją przy sobie, uczucie inne, potężniejsze, nie obudziło się w jego sercu...

Ale Tonia była piękną, młodą, dobrą jak anioł... cóż więc do szczęścia brakowało? Czy można sobie życzyć lepszej żony? Bądź co bądź, małżeństwo nie jest zabawką, kością stanowczą, rzuconą w grze hazardownej, i dlatego nieraz boleśnie ci się zawodzą, którzy wybierając towarzyszkę na cały bieg życia, pełnego walki a zawodów, idą li za popędem serca, nie radząc się równocześnie zdrowego rozumu. Edmund wiedział, że małżeństwa pobrane z szalonej miłości, często są najnieszczęśliwsze. W tym zaś wypadku rozum mu powtarzał, że lepszej żony nawet by sobie nie mógł życzyć.

Ale małżeństwo jeśli ma być prawdziwie szczęśliwem, prócz warunków, które rozum za dobre uważa, potrzebuje także miłości. Edmund nie okłamywał siebie, i w głębi duszy wyznał, że do Toni był tylko... przywiązanym. Lecz przywiązanie szczere, czy nie zaważy więcej na szali życia jak miłość wulkaniczna?

Aby się uspokoić co do wątpliwości, które w nim powstały po tem zapytaniu, zaczął w pamięci przypominać sobie wszystkie kobiety, które znał kiedykolwiek. Szereg był nie długi, jak dla człowieka w jego wieku nawet zbyt nieliczny, i nie znalazł w nim ani jednej, któraby na nim zrobiła większe wrażenie, jak ta dobra, cicha, Tonia złotowłosa. Wprawdzie jak meteor stanęła przed nim piękna postać Herminy, ale Edmund ze zgrozą odwrócił się od tego obrazu. Przecież świat utrzymywał, że hrabina nie była wolną... Jeżeli jaki niepokój drażnił jeszcze Edmunda, wszystko pierzchło na myśl, że był kochanym. Dopiero teraz zaczął sobie przypominać owe pytania, odpowiedzi i spojrzenia tej lubej dzieweczki, na które dawniej nie zwracał uwagi, — dopiero teraz zrozumiał, dlaczego pani Hermina zapytała go w dniu jego powrotu z zagranicy, czy z Wolicy „sam“ wyjedzie. Więc Tonia pokochała go, chociaż o to się nie starał, więc ojciec i przyjaciółka wiedzieli o tem, a tylko on jeden nie domyślał się jej uczucia! Miło usłyszeć, że się jest kochanym, że jest ktoś, kto dla nas żyć pragnie, że jest istota, która z całego tłumu otaczających ją wielbicieli tylko nas wybrała. A takie zadowolenie jestże samolubstwem, czy szlachetną wdzięcznością?

Edmund im dłużej chodził, i głębiej rozważał, czuł się tem szczęśliwszym i tem bardziej zaniepokojonym. Ach! czemu już dziś nie kochał tak Toni, jakby ją kochać chciał i powinien! Gdyby nie to jedno, na świecie nie pragnąłby więcej.

Gdy wracał do domu, widział w jadalni okna oświetlone. Tak był odurzony tem co się stało, i tak mało panował nad sobą, że postanowił pójść do swego pokoju.

Pani majorowa, która tego dnia wcześnie nad wieczorem, uskarżając się na silne uderzenie krwi do głowy, położyła się do łóżka, ani przypuszczała, co się stało w jej domu; mąż przyszedł powiedzieć „dobranoc“ lecz najmniejszem

nie zdradził się słowem; Tonia zaś wiedząc, że pierwsza wiadomość powinna pochodzić od ojca nie od niej, ukryła tego wieczora tajemnicę na dnie dziewiczego serduszka. Pani majorowa spała wprawdzie niespokojnie, bo śniło jej się, że się „ścięła“ z hrabią Dziuniem, dla którego z tak wielką była zawsze atencją — ale przykre sny złożyła na karb kongestji i o szóstej rano zbudziła się znacznie zdrowszą, nawet weselszą.

Zaledwie przywdziała strój domowy i nieodstępny czepeczek z pąsowemi wstążkami, major wszedł do jej pokoju. Pani Katarzyna ze zdziwieniem spojrzała na męża, bo zwyczajem jego było mówić „dzień dobry“ żonie dopiero przy śniadaniu.

— Jak się masz duszko — przemówił pan Kazimierz całując ją w czoło; — zapewne ci już lepiej, skoro wstałaś tak wcześnie.

— E gdzietam! Głowa ciągle mnie boli, ale musiałam wstać, bo jak te darmojady mnie nie widzą, wszystko idzie marnie. Mój kochany Kaziu — dodała czule — od nowego roku musisz koniecznie odprawić Grześka i Walentego, bo oni psują mi wszystką czeladź. Wyobraź sobie wczoraj...

— Dobrze, dobrze Kasiu, będziemy jeszcze mieli czas nad tem się zastanowić... teraz chciałbym z tobą pomówić o rzeczy nierównie ważniejszej...

— Ciekawam.

— Zapewne uważałaś, że nasza Tonia od niejakiego czasu była zamyślona, prawie smutna...

— O uważałam... ale mam nadzieję, że to się skończy, niech tylko wyjdzie za mąż.

— I ja jestem tego zdania. Śledząc ją uważnie, nabrałem nawet przekonania, że jej serce, jakkolwiek młode, już oddawna zajęte...

— Oddawna? Przecie...

— Nie wiem kogo ty masz na myśli Kasiu, ale wiem, że Tonia kocha Edmunda i nawzajem jest kochaną.

Pani majorowa zrobiła się jeszcze czerwieńszą, jeżeli w ogóle było to możebnem.

— Edmunda? — powtórzyła — fiu! fiu! co tobie plącze się po głowie!... Że Edmund ma się do niej, to bardzo wierzę, bo panicz radby złowić bogatą jedynaczkę, ale moja córka...

— Bardzo cię proszę Kasiu, tylko bez tych złośliwych wycieczek. Wiem, że Edmunda nie lubisz, wiem także, że masz w projekcie tego gagatka, Dziunia, ale wierz mi, z tego nic nie będzie...

Ton mowy majora był tak stanowczym, że pani Katarzyna bojąc się dorywczem wystąpieniem popsuć sprawę, uznała za stosowne usiąść i podeprzeć twarz ręką. Tak wyzywającą postawę przybierała zawsze, ilekroć mąż uwiadomił ją o rzeczy ważnej a dla niej nie miłej.

— No proszę, proszę, mów dalej, — rzekła z przekąsem.

— Otóż rozważywszy wszystko, — ciągnął major spokojnie — postanowiłem ich pobrać.

Pani Katarzynie było tego za wiele.

— Kazimierzu! — zawołała porywając się z krzesła — córka należy do matki, nie do ojca. Bardzo cię proszę nie mięszaj się do niej! Już ja sama rozporządzę jej ręką.

— I popełnisz jakąś niedorzeczność. Nie moja Kasiu, ja jako ojciec i głowa rodziny nie mógłbym na to przystać, a że było zawsze gorącem mojem życzeniem, by ani ja, ani ty, lecz Tonia sama rozporządzała swoją ręką, i gdy jej wybór padł szczęśliwie na człowieka, którego i my powinniśmy kochać, więc nie widząc żadnej przeszkody, postanowiłem ich pobłogosławić, a mam nadzieję, że ty także chętnie to samo uczynisz.

— Nigdy, jak Boga kocham, nigdy! Moja córka może pójść za księcia, a taki chłystek zawsze się znajdzie, choćby jeszcze dwadzieścia lat czekała.

— Wielki tytuł — to nie szczęście... niech o nim marzą ludzie próżni... Toni tego nie potrzeba. Edmund jest człowiekiem zacnym, rozumnym, synem uczciwej rodziny i kocha Tonię, a to mi wystarcza.

— Na rany boskie — Kazimierzu co ty mówisz?! Ten chłopak ma zaledwie jakąś tam nędzną wioszczynę, a Tonia będzie miała przeszło półmiljona. Co by świat na to powiedział?... jabym nigdzie oczu nie śmiała pokazać... toby był mezalians!

— Do kroćset! — zawołał major z oburzeniem nogą o posadzkę uderzając, — a waćpani z jakiego pochodzisz gniazda, że aż prawisz o mezaliansie? Edmund oświadczył mi się o rękę Toni, przyjąłem go, do czternastu dni będą zaręczyny, do dwóch miesięcy ślub i basta!

Rzekłszy to pan Kazimierz Zawilski opuścił apartament żony, która tym razem nie tyle już oburzona, co przestraszona rozkazującym głosem męża, upadła na sofę, oburącz twarz sobie zasłaniając.

Niema jej rozpacz nie długo trwała. Przyskoczywszy do okna otworzyła je z taką gwałtownością, że aż dwie szyby pękły i trzy wazoniki z kwiatami wypadły do ogrodu, a orzeźwiwszy się chłodnem powietrzem, które szeroką wpłynęło strugą, zaczęła dzwonić, ciągnąc taśmę nad łóżkiem, i biegać po pokoju wołając:

— O mój Boże! mój Boże!

Tonia, której sypialnia znajdywała się w pobliżu, słysząc niezwykły alarm w pokoju matki, wybiegła przestraszona w negliżu porannym. Zaledwie jednak drzwi otworzyła, usłyszała głos, który zawołał:

— Nie pokazuj mi się na oczy wyrodna córko! Precz! precz!

Przerażone dziewczę cofnęło się ode drzwi i drżąc jak liść, ukryło się w swoim pokoiku.

Tymczasem nadeszła Julia wezwana z garderoby gorączkowym brzękiem dzwonka.

— Idź do matki niech tu zaraz przyjdzie! — zawołała pani Katarzyna do wchodzącej — Idź, spiesz się! O mój Boże!

W kilka minut w sypialni pani majorowej pojawiła się pani Pędracka, klucznica z zawodu, a matka dwóch córek, z których starsza, Marynia, była panną służąca w Warnowcach, a druga Julja sprawowała takie same obowiązki przy Toni i jej matce, która z oszczędności nie trzymała dla siebie osobnej garderobiany.

Pani Pędracka była także wzrostu niskiego, także okrągła, także rumiana. Jeżeli przysłowie „swój swego znajdzie“ zawiodło kiedy, to we Wolicy znalazło ono najobszerniejsze potwierdzenie. Chociaż pani majorowa bacznie unikała wszelkich rozmów odnoszących się do jej przeszłości, chociaż za żadne skarby świata nie byłaby się przed nikiem przyznała do stanu, z którego pochodziła; chociaż nawet z córką nigdy nie mówiła o latach spędzonych w panieństwie — mimo to do własnej klucznicy przylgnęła całą duszą, uważając ją za najszczerszą swoją przyjaciółkę. Nie raz późnym wieczorem, gdy już wszyscy spać się pokładli, pani domu zarzuciwszy dużą chustkę na głowę, wymykała się ze dworu i ukradkiem zachodziła do oficyny, gdzie pani Pędracka zajmowała te same dwa pokoje, które ongi do niej należały. Tu usiadłszy na łóżku swojej klucznicy, rozmawiała z nią o przeszłości i przyszłości, zwierzała się z tajemnic, zasięgała rady i układała plany. Tu niechęć do Edmunda nabierała świeżego pokarmu, tu urodził się projekt wydania Toni za hrabiego Dziunia, tu wreszcie rozlewały się skargi na majora, który na pozór łagodny i słodki, w gruncie był „tylko despotą i nieszczęśliwą żonę tyranizował!“

Pani Pędracka chwaląc zawsze swoją chlebodawczynię, tym jedynym środkiem tak znakomicie utrzymywała z nią stosunki poufnej przyjaźni, że tylko dla niej jednej majorowa nawet skąpą nie była. Ilekroć Julcia lub Marynia miała jaką potrzebę, klucznica potrzebowała tylko wspomnieć o tem majorowej, a pewnie wszystko uzyskała. Co więcej, nawet dalsi krewni Pędrackiej doświadczali łaskawości dziedziczki z Wolicy. Na drugiej wsi nauczycielem ludowym był jakiś stryjeczny czy wujeczny brat pani Pędrackiej. Najregularniej co miesiąc odchodził doń z Wolicy wóz naładowany drzewem i różnemi wiktuałami.

— Pędrasiu! moja droga Pędrasiu, ach ja nieszczęśliwa! — zawołała pani Katarzyna rzucając się na szyję nowoprzybyłej i wybuchając płaczem, na który aż do tej chwili nie mogło się jej zebrać.

— Chryste! a cóż to się stało jasnej pani? Uchowaj Boże może doprawdy jakie nieszczęście — odparła klucznica usiłując tłustym swoim policzkom i małym a bystrym oczkom nadać wyrazu rzetelnego współczucia.

— Wyobraź sobie Pędrasiu, że tu prawdziwa Sodoma i Gomora, tu ogień siarczysty kiedyś ten dwór spali! Wyobraź sobie mąż knuje przeciw żonie, córka przeciw własnej matce, a ta... ta gadzina...

— Pewnie pan Edmund.

— Tak, tak, ten Edmund wkradł się jak złodziej do mego domu i zbałamucił mi córkę...

— W imię Ojca i Syna! — szepnęła klucznica robiąc znak krzyża — a to do prawdy wielkie nieszczęście. Ktoby się tego był spodziewał, chociaż ja nieraz jaśnie panię przestrzegałam, że młodzi państwo za długo rozmawiali z sobą w ogrodzie.

— Prawda, prawda, ale cóż było począć, kiedy ten stary zawsze ich bronił. Strzegłam, patrzyłam, a jednak nic nie pomogło! I czy dałabyś wiarę, że on sam ich łączy, sam żeni, mnie o to nie zapytawszy, nawet wbrew mojej woli! Widzisz, ludzie mówią, że ja go trzymam pod pantoflem, a tymczasem to nieprawda. Gdy idzie o jakie głupstwo, to mi ustępuje, ale gdy ma zrobić co ważnego, zawsze sam zrobi! Dobre ja miałam przeczucie, że tej małej gadziny nie chciałam wziąć do siebie, ale staruch uparł się, postawił na swojem i teraz masz...

— Już to ja zawsze mówiłam, że jaśnie pani jest ofiarą — pocieszała Pędracka.

— Skończoną ofiarą, od lat trzydziestu! Poświęciłam mu moją młodość, moje życie, a teraz piękną mam nagrodę: zbuntował mi córkę jedyną, i zmówił się z tą gadziną Edmundem, który będzie gwoździem do mojej trumny...

— Co teraz jaśnie pani powie hrabiemu?

— O to mi też najwięcej idzie! Nie raz dawałam mu do zrozumienia, że odemnie wszystko zależy, że może być spokojnym, a tymczasem patrz, patrz jak oni mnie wykierowali.

*

— Szkoda, wielka szkoda, taki piękny pan, taki hrabia!

— Gdyby moja córka została była jego żoną, cała nasza rodzina byłaby się podniosła w znaczeniu, najpierwsi panowie byliby się starali o moje względy... teraz wszyscy mię wyśmieją, a hrabia będzie nawet śmiertelnie obrażony. Jak mię gdzie spotka, gotów się nawet nie ukłonić. Moja droga Pędrasiu, kazałam cię tu przywołać by się ciebie poradzić. Może się da jeszcze co zrobić, zapobiedz...

— Niech jaśnie pani opowie mi łaskawie wszystko, jak było, a może coś na to poradzimy.

Majorowa powtórzyła niemal dosłownie rozmowę swoją z mężem. Pędracka słuchając od czasu do czasu potrząsała głową, potem rzekła:

— Kiedy pan major ośmielił się jaśnie panię nazwać aż „waćpanią,“ to źle, bardzo źle.. widać, że wziął na kieł. A twardy, wiem że twardy, nie łatwo ustąpi. Lecz pomyślę ja dziś, może się jeszcze da zaradzić. Najtrudniej zwlec, potem to się już zrobi... Mam w Bogu nadzieję że do wieczora przyjdzie mi dobry koncept.

— Pamiętaj Pędrasiu, pamiętaj! ja ci tego nie zapomnę! Wieczorem przyjdę do ciebie, koniecznie musimy coś uradzić...

Klucznica pocałowała majorowę w rękę, a majorowa pocałowała ją w głowę. Po wyjściu zaś powiernicy, nieszczęśliwa pani Katarzyna zamknęła drzwi na klucz i rzuciła się na sofę, aby odpocząć po gwałtownem wzruszeniu. Biedny Edmund nie przeczuwał, jak mu teraz złorzeczyła jego matka przybrana, i jaką mu zemstę przysięgała.

Gdybyście mię zapytali, jak wyglądali nasi młodzi przyjaciele, gdy tego dnia rano zeszli się pierwszy raz na ganku, nie mógłbym wam odpowiedzieć. Są chwile, które można tylko czuć; spojrzenia, których opisywać nie wolno; uśmiechy, które zimnem opowiedziane słowem, straciłyby cały swój urok; — rumieńce, które podpatrzone przez oko obojętne, przestałyby być dziewiczemi; zakłopotania, które rozumieją tylko narzeczeni. Ja wiem zaledwie tyle, że młodzi nasi znajomi tego poranku zeszli się o całą godzinę później jak zwykle, chociaż przypadkiem widzieli się kilka razy z daleka, i że na ganku byliby może wcale nie nawiązali rozmowy, gdyby nie major, który w sam czas się zjawił, aby im przyjść w pomoc. (C. d. n.)

Długosz o Elżbiecie trzeciej żonie Jagiełły.

Napisał

ANTONI PROCHASKA.

(Ciąg dalszy).

Nie tak atoli ma się rzecz z Długoszem. Długosz zna Bartosza, zwie go nawet, chwaląc jego męstwo i odwagę: Barthoszius Wiszemburg de domo Nałęcz[1]) i znowu Wischemberg[2]), podczas gdy męża Elżbiety, nazywa Wisłem „de Wiszemberg“. Ten więc Wisło bez przydomka i herbu, nie jest u Długosza w żadnem powinowactwie z Bartoszem, a powtóre, chociaż go Długosz zowie „Wiszlo Czambor“ nie jest on już przez to spokrewnionym z Samborami, targującymi się z niemieckim Zakonem na zgubę Polski. W takim bowiem razie nie zaniedbałby

[1]) Dł. XI. 378

[2]) ibidem.

był nasz Długosz nadać mu pięknego przydomka, czego atoli nie uczynił. Przeciwko tożsamości osoby Wisła, małżonka Elżbiety, z Wisłą Czamborem owym przyjacielem Zakonu krzyżackiego, przemawia nawet charakter pierwszego, okazujący się najlepiej z jego zachowania się w obec Hińczy, który mu wydarł żonę. — Czambor „parum notae sortis homo“ zamiast orężnie upomnieć się o swą krzywdę, listownie go tylko niepokoił, za co został zabity. Wisło Czambor układający się często z Krzyżakami, tęgi wojownik, wypróbowany w częstych harcach krzyżackich, byłby niewątpliwie orężem pomścił się zniewagi uczynionej mu przez Jenczyka Hiczyńskiego. Zresztą wątpić by należało, ażeby śmiertelny wróg Polski, jakim był Wisło Sambor, wolno mógł przebywać w Krakowie.[1]) Nasz więc Viszel Czambor Slesita de Wiszemborg, jest zupełnie inną niż Wisło Czambor osobą. Apodyktycznie nie da się rozstrzygnąć kto jest nasz Szlązak lub Morawiec; ani w szlązkich bowiem ani w morawskich dyplomatarjuszach nie spotykamy się z jego osobą. Atoli mogliśmy się już przekonać, że taki dowód Cara o nieprawdziwości podania Długoszowego, jaki szczegółowo tu rozebraliśmy, nie może nas przekonać, szukajmy więc, ażali w zapiskach współczesnych nie znajdziemy dowodów na potwierdzenie podania Długosza.

Dwa mamy przekonywające dowody, że Elżbieta idąc za Jagiełłę, była już wdową po trzech mężach. Są niemi zapiski współczesnych kronikarzy, Jana z Posilge, i dopełniacza szamotulskiego rocznika, Traski. Że pierwszy z nich, Jan Posilge był współczesny tej sprawie poświadcza okoliczność, iż mówi o Elżbiecie jako o współczesnej sobie osobie: „Got gebe dass sye wol gerate.“ [2]) Opowiada on o Elżbiecie tymi słowy: *„Do nam her* (Jagiełło) *zczu wibe hern Wincencii wib von Granow, synnes mannes, und dy hatte vor dry man gehat, und was eyn wib alreit by jarin.*

Drugi analista raczej aniżeli kronikarz, jest również współczesnym, mówi bowiem o roku 1417 w którym Jagiełło ożenił się z Elżbietą co następuje:[3]) Anno enim Domini 1417 fuit eclipsis solis in crastino sancti Viti, feria sexta (tj. 4 czerwca) hora quasi tertia me missam legente, sol fuerat obscuratus, et me terror nimius tunc invasit. Dalej wyraża się jak poprzednio kronikarz w tych słowach: *Wladislaus rex duxit in matrimonium quandam nobilem dominam Elizabeth iam provecte etatis feminam. Ipsa namque post mortem trium maritorum et baronum sesse imediate sequencium extitit viduata.*

Obaj przeto zacytowani kronikarze, potwierdzają zaprzeczaną przez Cara wiadomość Długosza, iż Elżbieta przed Jagiełłą już trzech mężów miała. Mamy wreszcie rocznik Swiętokrzyski,[4]) który ma być w IIIcim tomie Monumentów Bielowskiego wydany, a w nim znachodzimy następujący ustęp o Elżbiecie: *Elisabeth Regina, quattuor maritorum consors, successive et ultimo regina, moritur ante ascensionem Domini anno 1412* (sic) *ptisi exsiccata; tribus annis cum regevixit.* Z powyższych zapisków, wypływa tedy jasno, że relacja Długosza o trzech mężach Elżbiety, przed jej zamążpójściem za Jagiełłę, jest

[1]) a tak mówi Długosz XI. 380.

[2]) Scriptor. rer. Prussic. III. 370.

[3]) Bielowski. Monumenta Poloniae II 868 r w przedmowie do tegoż rocznika.

[4]) Odpis rocznika (facsimile) w bibljotece Ossolińskich na pag. 120|2

prawdziwą. Chodziłoby teraz tylko o to, czyli wymienione przez Długosza osoby, ostoją się w obec krytyki. Caro niewiedząc nic o powyższych zapiskach, a chcąc Długoszowych, awanturniczych Wisłę i Jenczyka zupełnie odrzucić, wyszukuje przy pomocy bujnej swej wyobraźni innego dla Elżbiety męża. Ma nim być Bolko Opolski książę. Jest to fałsz. Jak bowiem panu Caro równocześnie Grünhagen[1]) i Zeissberg[2]) dowiedli, popadł on w swym domyśle w gruby błąd, podobny do tego, jaki już przed nim popełnił Błażowski, tłumacz Kromera. Z zapisków sądowych zawartych w Helclu, dowiedli mu oni, że Elżbieta Granowska żona Bolka Opolskiego, była córką naszej Elżbiety królowej, i według wszelkiego prawdopodobieństwa przed lub w samym roku zamążpójścia matki to jest w 1417 r. wyszła za mąż za Bolka. W roku bowiem 1419, widzimy ją na dworze swej matki jako księżnę Opolską (ducissa Opoliensis),[3]) a w rachunkach królowej, poczynających się od roku 1418, żadnego wydatku, na ślub lub wesele jej, niema zapisanego.

Tak tedy i ten nowy dowód Cara, mający wykazać niewiarygodność podań Długosza, niema wobec sprostowań Grünhagena i Zeissberga żadnej podstawy. I owszem te grube pomyłki, w jakie popadł wrocławski profesor, usiłując zadać kłam Długoszowi, jak również z drugiej strony, zapiski współczesne potwierdzające opis Długoszowy, świadczą najwymowniej, że Długosz z palca wiadomości, jakie ma, nie wyssał, lecz spisał je na podstawie dobrych źródeł historycznych.[4]) Gdy tedy faktem jest, że Elżbieta Opolska a Elżbieta królowa, to dwie osoby, córka a matka — gdy faktem jest, iż Elżbieta trzech mężów miała, jak donosi Długosz, jakiż, pytam, powód abyśmy odrzucać mieli podanie o Wiśle i Jenczyku, które u Długosza znajdujemy? Niemamy wprawdzie na podanie to współczesnego potwierdzenia, ależ to jeszcze nie upoważnia nas do niewierzenia a tem mniej do jego odrzucenia. I owszem; Długosz opisuje nam przygody o Wiśle i Jenczyku zupełnie objektywnie, naznacza nawet znany z zapisków u Helcla dom Szpota, przed którym mord na Wiśle został popełniony, mąci się dalej w kwestji narodowości mało znanego Wisły — a właśnie te szczegóły nie mogą żadną miarą świadczyć o przezorności w fabrykowaniu dziejów. Jenczyka zna nawet Długosz lepiej, aniżeli Wisłę, powiada bowiem o nim, że był herbu Odrowąż, i że uwolniwszy się orężem od swego przeciwnika „za zezwoleniem króla Jagiełły, spokojnie posiadał posag i żonę Elżbietę.“ O synie tegoż Jenczyka, którego nazywa: Joannes Jenczikowicz Baro de Moravia, opowiada Długosz, że przyprowadził pod Grundwald 49tą

[1]) Zeitschrift für preussische Gesch. u. Landesk. 6 Jahrg. str. 189 i nast.

[2]) Analekten zur Gesch. ges XV. Jahrh. str. 316 i nast.

[3]) Analekten str. 367. Mąż jej Bolko, zwany był w Polsce *„Dux Opoliensis alias de Pilcza“* jak to zapiski w Helclu II. 2236, 2239 a właściwie 2241 pouczają. Obacz także zapiski pod Nr. 2071, 2122, 2123; 2169.

[4]) Co się tyczy twierdzenia Cara, jakoby w opisie o Elżbiecie, źródłem dla Długosza, były pamiętniki Oleśnickiego, (Gesch. Pol. III 480.) to nadmienimy tyle, że szanowny autor zupełnie odstąpił od niego w Liber Cancellariae str. 12 i nast. Nie mamy przeto powodu rozbierać tezę Cary o fantastycznych „pamiętnikach,“ wolno nam atoli zwrócić uwagę na to, iż jedna z podstaw w dowodach jego, jest jak sam obecnie przyznać musi, z gruntu fałszywą.

chorągiew, z herbem, który Polacy Odrowąż nazywają, a uczynił to z wdzięczności za dobrodziejstwa, które król ojcu jego wyświadczał.[1]) I ten szczegół może nam posłużyć za świadectwo, że Długosz osobistości i losów Jenczyka nie zmyślił.

Zważywszy tedy, że argumentacja dra Caro, przeciwko opowieści Długoszowej o przygodach Elżbiety z pierwszymi jej mężami, nie ma podstawy, dalej, że Długosz nie popada w swej opowieści w sprzeczności, któreby świadczyły o jakowych wymysłach jego, wnioskujemy, że możemy opowieść Długoszową przyjąć jako fakt prawdziwy, opierając się w tej mierze na Szajnosze i Zeissbergu i innych znanych powagach w naszej historjografji. (C. d. n.)

POGADANKI.

XIX.

Przedstawienia amatorskie na cele dobroczynne są bardzo chwalebnym surogatem plagi publicznej, znanej u nas pod nazwą „kwesty,“ o tyle przynajmniej, że nie napadają człowieka w jego własnym domu, w chwili gdy najmniej jest dysponowanym i przygotowanym na przyjęcie niemiłosiernych wysłanników i wysłannic taniego miłosierdzia. Kwesta jest plagą, istotną plagą i należy do najmniej niewinnych rodzajów sportu. Koniarze wyjeżdżają za Janowską rogatkę, myśliwi ciągną do lasu, łyżwiarze udają się do Panieńskiego stawu, i nie zawadzają nikomu, kto im nie zawadza. Kwestarki natomiast zbierają się w samem mieście, i przybrawszy sobie do pomocy kwestarzy, napadają ludzi w pomieszkaniach z bezwzględnością, wobec której natarczywość woźnych zbierających zaległości podatkowe jest wyskokiem uprzejmości i rafinowanego *savoir-vivre*. Kto nie posiada kucharki wprawnie władającej językiem, miotłą i t. p. ten bez ratunku pada ofiarą inwazji — nie obroni go ani własny, ani domowników jego negliż: w mgnieniu oka kwestarki zajrzą na dno wszystkich jego garnków i rynek, i policzą w jego kredensie wszystkie uszka, brakujące u filiżanek, podczas gdy kwestarze dotrą nawet do miejsc jeszcze grubszą w każdym domu pokrywanych tajemnicą. Każdy uczciwy człowiek powinien wprawdzie tak żyć, jak gdyby mieszkał w szklannym domu, ale z tego nie wynika jeszcze, by współobywatele i współobywatelki o każdej porze powinni zaglądać do wnętrza jego szklannej siedziby. Dodajmy do tego, że gdy np. koniarki i łyżwiarki odznaczają się urodą, a koniarze i łyżwiarze elegancją, to ich siostry i bracia w Sporcie kwestarskim nie świecą bynajmniej temi przymiotami — dodajmy nakoniec, że wprawdzie dolegliwości kwest każdemu z nas dają się w znaki, ale błogie ich skutki nikomu jeszcze i nigdzie nie wpadły w oko — a bez namysłu głosować będziemy za przedstawieniami amatorskiemi. Kto nie chce, nie potrzebuje ich widzieć, a cel ich bywa zawsze i niewątpliwie dobroczynnym lub pożytecznym.

Z tego wszystkiego wynika, że wobec amatorów i amatorek krytyka powinna zaprzeć się swojej tygrysiej natury, włożyć kaganiec pobłażliwości na drapieżne kły, i nie dla ozdoby, ale dla bezpieczeństwa, osłonić gwałtowne łapy aksamitnemi mitenkami, ażeby głaskały, a nie drapały. Najlepiej zaś uczyniłyby mojem zdaniem wszystkie wydawnictwa perjodyczne, gdyby w dni przedstawień amatorskich, artystycznych referentów swoich wcale nie spuszczały z łańcucha, jeżeli światło gazowe i kurtyna budzą w nich dzikie krytyczne instynkta. Niedobrze jest wpuszczać do pasieki choćby najlepiej tresowanego niedźwiedzia, a najprzyjemniejszy biały capek, chowany w salonie, zrządzi okropne spustoszenia w grządkach kapusty, gdy się wyrwie do ogrodu......

Powinno być zasadą, że amatorów i amatorek nie należy nigdy g a n i ć, bo na drugi raz, zamiast występować na scenie, pójdą kwestować po domach, i pomnożą liczbę naszych utrapień lokalnych, a pożyteczne i dobroczynne instytucje stracą na tem najwięcej. C h w a l i ć można, ale ostrożnie, tj. wszystkich w czambuł, bo pominięcie przy rozdawaniu pochwał jest już samo przez się naganą. Zarzuci kto może, że każdy ma prawo do sądu „za swoje pieniądze.“ W takim razie, dlaczegoż nie było wypadku, ażeby się jaki kronikarz żalił w sprawozdaniu z „bazaru dobroczynności,“ że pani X. sprzedała mu za 5 złr. portmonetkę, którą dostanie u Steifa za 1 złr. albo że panna Y. kazała sobie zapłacić 50 ctów za *Cuba*, które nie chciało się palić, i które było podane z uśmiechem odsłaniającym mały wyłom w perłowym rzędzie ząbków? Jużci nie trudno o trafikantkę, która ma wszystkie zęby, a uśmiechnie się i poda dobre *Cuba* za cztery centy, ba, i *fidibusa* w dodatku — ale kronikarze nie drukują takich uwag, bo są ludźmi wyższego poloru dziennikarskiego, podczas gdy „dział literacko-artystyczny“ nie bez kozery umieszczony jest w każdem piśmie tuż obok telegramu donoszącego o cenie wołów w Floridsdorf!

Niedawno jeden z tych najbliższych sąsiadów „Gospodarstwa, przemysłu i handlu“ zarzucił pewnej amatorce, że mówiła akcentem „brukowo-lwowskim“ Jest w tem i niegrzeczność i nieprawda, bo żadna wykształcona osoba nie mówi akcentem „brukowym,“ a z drugiej strony, nie słyszano jeszcze Lwowianki mówiącej akcentem krakowskim, albo warszawskim, i dla tego też jedna z pomiędzy pięćdziesięciu tysięcy nie może odpowiadać za to, że u nas nie „mazurują,“ albo też nie wymawiają otwartego *e* tam nawet, gdzie go nie ma. Emilia Plater zacinała z litewska, Lelewel nawet w piśmie nie chciał porzucić reminiscencyj wileńskich, a Kornel Ujejski, gdy przemawia publicznie, w każdem słowie zdradza się, że się urodził na Rusi. Nie przeszkadza mu to wszakże mówić lepiej po polsku od X. Goliana. Na wszelki wypadek tedy, szanowny recenzent przeholował bardzo mocno w swoim zapale puryfikacyjnym i mógł był tym razem, dla nie zdradzenia swojego własnego akcentu — wstrzymać się zupełnie od mówienia, jak to już wyżej nadmieniłem i radziłem.

* * *

Zbytek gorliwości krytycznej jest wszakże jeszcze najlżejszem przewinieniem, jakie zarzucić można pp. tyranom opinji publicznej w dziale literacko-artystycznym. Nierównie większem, i prawdziwem złem jest pojawiająca się tu i owdzie tendencyjność sądów. I tak np. jedna z gazet naszych, nie wiem dla czego, nie lubi p. Tatomira. Ponieważ pan T. nie należy do redakcji *Dziennika Polskiego*, ponieważ nie starał się nigdy o przedsiębiorstwo teatru lwowskiego, ponieważ w ogóle nigdy i nigdzie nie stanął w drodze pomienionej gazecie, więc niechęć ta jest zupełnie niewytłumaczoną i żaden katechizm nie wyjaśni panu T. „co wiedzieć i wierzyć powinien, ażeby był zbawionym“ i przypuszczonym do łaski rozsierdzonej *Gazety*. Tymczasem, objął on redakcję *Szkoły*, i wnet posypały się na niego zarzuty, pozbawione wszelkiego cienia słuszności.

Jest to teroryzm, wobec którego doprawdy uwierzyćby można pogłosce, twierdzącej, jakoby już nawet pewnemu dygnitarzowi autonomicznemu grożono listownie „opinją publiczną,“ jeżeli w pewnej kwestji (wychodzącej poza program *Tygodnia*) postąpi sobie zgodnie ze swoim obowiązkiem, a nie według myśli autora listu, uprzyw. dzierżawcy uczuć patryotycznych i dyrektora „opinji publicznej.“ Tacy pp. przedsiębiorcy powinniby pamiętać, że opinja publiczna jest na kształt kija, który ma dwa końce... albo na kształt dołka, w który łatwo wpaść temu, co go wykopał...

Już to ja zawsze powtarzam, że nie ma większego kłopotu, jak kiedy bardzo wielki jaki człowiek, przeznaczony przez Opatrzność np. na kierownika i zbawcę narodu, osiądzie na bruku. Naród chodzący po tym bruku najczęściej nie wie, że ma takiego messjanicznego męża tuż w pobliżu, a mąż nudzi się i z ustronia pisuje listy lub redaguje gazety, chwalące jednych, ganiące drugich, w imię jego opatrznościowego posłannictwa. Jeżeli nawet Garibaldi i Wiktor Hugo naprzykrzyli się trochę Europie swojemi epistołami, to cóż dopiero mówić o naszych małych pseudo-garybaldziątkach i pseudo-mazziniątkach, którzy zrzędzą, wielbią lub strofują jedynie dla zwrócenia uwagi na siebie? Gdyby zachowanie się Stańczyków było do darowania, albo gdyby kto w ich obronie chciał przytoczyć jaką okoliczność łagodzącą, to z pewnością powołałby się na istnienie takich Liliputów czynu o gębach tytanicznego rozmiaru i tytanicznem o sobie rozumieniu. Ale gawron, siedzący na krzyżu, nie ujmuje mu świętości i powagi, a kto bluźni krzyżowi, nie może się uniewinniać obecnością gawrona — więc i Stańczyków nic nie uniewinni.

Przepraszam tymczasem za porównanie z gawronem — może pp. dyrektorowie „opinji publicznej“ woleliby innego jakiego ptaszka? Zgadzam się na każdą zmianę w kierunku ornitologicznym, bo nie osłabi ona mojego porównania.

* * *

Rocznica *Trzeciego Maja* przeszła u nas tak cicho, że nawet nie wszystkie pisma codzienne poświęciły jej, choćby pobieżną wzmiankę. W przemówieniach mianych na dorocznem posiedzeniu Akademji Umiejętności wzmianki takiej także nie było. Zapewne wstyd było pp. członkom porównań, które się same przez się nasuwały. Konstytucja ogłoszoną była 3 Maja i zaznaczyła zwrot w politycznem życiu narodu, zwrot świetny, rzucający ziarno, które zejdzie, chociażby po wiekach nakształt ziarna wydobytego z olbrzymich grobowców starożytnych potęg świata. Akademja zaś otwartą była w wilję tej rocznicy i... (dokończenie nastąpi w *Szczutku!*).

Jan Lam.

---

[1]) Dł. XI. 243 ....quod (vexillum) Joannes Jenczikowicz Wladislao Poloniae regi, in auxilium, beneficiorum patri suo *Jenczkoni*, per Vladislaum regem praestitorum, memor, praestiterat. Porównaj ibidem. 381. ...liberaque dotis et consortis, Rege Vladislao permittente, extunc fuit posessio... Jan Myedzwyedz, znany 1414 r. w Polsce. Obacz Helcel. II. zapiska 1332.

Kronika paryska.

Paryż — Kwiecień — 1876 r.

Odkąd poezja poezją, we wszystkich epokach i pod niebem wszystkich klimatów, odtąd skargi na zepsucie i zgniliznę społeczną, odtąd narzekania na obojętność i sobkowstwo współbraci, odtąd żale za lepszem niby to wczoraj, lub tęskne kwilenia ku pomyślniejszej daj Boże przyszłości, były, będą i bodaj czy nie być muszą ulubionym tematem rymopisów. Nie wielu, bardzo nie wielu z ich koła, na filozoficzną zdobywa się wyrozumiałość; przeważna większość, woli słuchać lub przeklinać bezwzględnie... Rzecz łatwa do pojęcia. Poeta, istota wrażliwsza, bardziej nerwowa, w piękniejszych a tem samem trudniejszych do zrealizowania rozkochana ideałach— gdy takowych na życiowym nie spotyka gościńcu, albo w zupełne popada rozczarowanie i gorzkim karmi drugich pessymizmem, lub też przy większych zasobach optymizmu i wytrwania, wmawia w siebie egzystencję tych ideałów gdzieś za chmurami, i szuka ich wszędzie, byle nie tuż pod bokiem, byle nie w brzydkiej, smutnej, strasznej teraźniejszości. To zasada ogólna, która względnie do charakteru jednostek różnym podlega modyfikacjom. Nie każdy bowiem z rozczarowanych i płaczących pieśniarzy, ideał swój na jednakiej mieści wyżynie; nie każdy dobro i szczęście tu na ziemi jednakim pojmuje trybem. Jeden bardziej samolub szlocha nad niewiarą okrutnej kochanki; drugi podnioślejszy duchem, nad klęskami swej generacji, swego plemienia; trzeci nakoniec jeszcze szersze obejmujący horyzonty, nad całej ludzkości niedolą. Są i dzieci rozkapryszone, którym się gwałtem „szybki z okna" lub „gwiazdki" z jasnego zachciało nieba, i które szemrzą na niedobrą „mamę," na społeczeństwo, iż im tak potrzebnej nie dostarczyła zabawki. Są zapewne i Bajroniści na zamówienie, z rzemiosła, *par pose*, jak mówią Francuzi, którzy skargami na mniemane krzywdy pragną skaptować serca młodych a czułych pensjonarek. O tych ostatnich i mowy być nie może. Każdy ich pozna po pożyczonym akcencie i z drwiącym uśmiechem odsunie na stronę. O szczerocie innych świadczy nam większa lub mniejsza doza wzruszenia, doznana przy czytaniu ich żałośnych trelów. Gdzieby łzy takich nie miały źródła, na współczucie nasze zasługują i współczucia im naszego nie odmówimy. Oto w chórze tych lamentujących, p. Franciszek Coppée z kilku prac swych poprzednich (*Le passant, Deux douleurs* itd.) zaszczytnie znany młody poeta francuski, jedną płaczliwą odezwał się nutą.

Tomowy poemat jego pod tytułem *Olivier*, to długi, nadto może długi jęk rozpaczy za utraconą w burzach żywota dziewiczością serca (*Virginité du coeur, hélas! Sitôt ravie!*) której nic już powrócić nie zdoła, i której późniejsze zdobycze jak doświadczenie, hart woli, wytrawność sądów itd. korzystnie zastąpić nie mogą. Nie wiemy, czy podobna teorja oparłaby się ścisłej krytyce filozoficznej. Nie wiemy, czy pierwotna, bezwiedna cnota, cenniejszą jest w sercu mężczyzny, niżli skarby doświadczenia, zdobyte późniejszą walką w szkole życia. Rozwiązanie tej kwestji bardziej wytrawnym zostawiamy psychologom. Bierzemy się do sądów o poecie, nie do sądów o moraliście i filozofie.

Bohater p. Coppée, Olivier, tak jak i starszy brat jego Oktawjusz z powieści Alfreda de Musset pt. *La confession d'un enfant du siécle*, młodość swą spędził po hulaszczemu w Paryżu i na zdawkowych miłostkach styrawszy ową tak rzewnie opłakiwaną dziewiczość serca, w nic już nie wierzy, nic nie kocha, niczego nie pragnie i niczego się nie spodziewa. Duszno mu w murach tej ohydnej, mieszczańską trzodą przepełnionej stolicy. Życie na wiatr, z którego już do szczętu spił śmietankę, cnotliwe choć niewczesne budzi w nim wstręty. Jak ów żarłok w zapasach z niestrawnością, zarzeka się, że nigdy już jeść nie będzie i przypomniawszy sobie, że gdzieś tam w Normandji, czy w Bretanji, ma krewnych na wsi mieszkających, dla odświeżenia się tak moralnie jak fizycznie, wybiera się w dłuższą do nich gościnę.

Córka krewnych, Zuzanna, którą bohater powieści widział dzieckiem, a która podczas pobytu jego w stolicy na szesnastoletnią wyrosła dziewoję, wita go na samym wstępie. Nie ładna, nie odznaczająca się niczem zgoła. Oto jej portret zresztą: Rozdział VIII. str. 39. „Czem jest Zuzanna w gruncie? Pierwsza w niej lepsza z rzędu. Tak, typ to banalny choć ładniutki niewiniątka, jakich bez liku w komedjach Scribe'go. Pensjonarka wychodząca z klasztoru. Ideał mieszczański, dziewczę trzpiotowate."

Nie ładna powiadam, nie odznaczająca się zgoła niczem, Zuzanna wzbudza w Olivierze głęboką miłość, jedynie przebłaskiem swej niewinności, jedynie niepokalaną czystością swej duszy, chociaż dla niej poeta zaledwie w „lilji" w „puchu łabędzim" lub w „śnieżnej lawinie" dokładnie rzecz określające i dość oklepane znajduje porównania.

Dziewicze to zjawisko w duszy przeżytego młodziana, nie znane mu dotąd budzi pragnienia uczuć spokojnych, opartych nie na burzliwych popędach zmysłów, lecz na trwalszym fundamencie, bo na wzajemnym szacunku.

Poemat przybiera formę pamiętnika, czy dziennika raczej, w którym Olivier nowe dla siebie zapisuje wrażenia.

Każda z kart następnych coraz wyraźniejsze wykazuje postępy moralnej konwalescencji biedaka. Rozczarowane. odarte ze złudzeń serce młodziana, zakwita niemi na nowo. O uczuciach Zuzanny dowiadujemy się pośrednio z tegoż samego dziennika.

Młode dziewczę, jak się pokazuje nietylko nie odpycha zapałów swego pacjenta, ale owszem zupełną się im odpłaca wzajemnością. I stary krewny, ojciec Zuzanny, łaskawem na gruchania młodej pary spogląda okiem. Wesele zatem? Broń Boże! Byłby to finał zanadto prozaiczny i zarazem nadto pogodny.

Poecie, smętnemu poecie, poecie szlochów, westchnień, żałoby, nie przypadł on do serca. Potrzeba mu było innego i oto macie: Odrodziny moralne Olivier'a złudnym były pozorem. Z choroby rozczarowania nikt się nigdy nie leczy zupełnie. Można ją przygłuszyć na chwilę, wykorzenić jej z gruntu nie sposób. Tak przynajmniej twierdzi poeta. Bohater jego szybko przychodził do zdrowia, lecz szybciej jeszcze wpada w recydywę. Ta ostatnia gwałtownemi wkrótce objawia się paroksyzmami. Lada co powód do nich podaje. Zuzanna w towarzystwie kuzyna wyjeżdża konno na spacer i w biegu upuściwszy szpicrut prosi towarzysza, by go jej podniósł. Tego dosyć. Tak drobny na pozór wypadek wystarcza, by w duszy Olivier'a rozniecić piekło wspomnień gorzkich, jadowitych wspomnień. Któraś bowiem ze zdradzieckich ongi kochanek w podobnym wypadku, o rzecz podobną, z podobnym prosiła go uśmiechem. Zuzanna siada przed fortepjanem i bezwiednie zaczyna grać arję, niegdyś zazwyczaj grywaną przez inną miłośnicę szaleńca. Czegoż trzeba więcej? Olivier od zmysłów odchodzi. I tak dalej i tak dalej! Takiej wewnętrznej w duszy bohatera swego walce, dwa dość długie poświęciwszy rozdziały, poeta przyznaje ostateczną jej wygranę wpływowi zgubnych natchnień. Olivier nie czuje się godnym poślubienia nieskalanej dziewicy, patetycznym wykrzykiem żegna rozżaloną i wraca, wraca do Paryża, by... zgadnijcie co? by w błocie dawnego, grzesznego żywota zanurzyć się znowu po szyję.

Il plongea dans Paris, comme on se jette au gouffre. Et depuis lors, c'est là qu'il vit, c'est là qu'il souffre, sous un air calme et doux cachant un coeur amer, comme un beau fruit d' automne où s'est logé le ver."

Oto jak widzicie niezbyt suta treść nowonarodzonego poematu. Nie w niej też główne jego bogactwo. Główne bogactwo jego w krajobrazach, pejzażach, na tle których rozwija się opowiedziana powiastka. Niektóre z tych ostatnich przedstawiające nam tak Paryż i jego brudne przedmieścia, jak i zielone błonie Normandji nadzwyczajną uderzają świeżością, ładnem zrozumieniem natury, wreszcie nadzwyczajnem wykończeniem drobnych nawet szczegółów.

Niektóre powiadam, bo do wszystkich sąd powyższy nie da się zastosować. Są pomiędzy niemi i takie, w których wspomniane wykończenie detalów dochodzi do przesady i wyradza nieraz trywialność rażącą smak estetyczny. By czytelnik zrozumiał naprzykład, iż ma przed oczyma brudną i błotną przedmiejską uliczkę, nie trzeba mu koniecznie wyliczać wszystkich na niej kopców śmiecia, wszystkich rowów cuchnącą przepełnionych gnojówką. By pojął, że skwar letni nie miłe na rolniku zajętym nad pługiem wywierać musi wrażenie, nie trzeba mu za skrupulatnie opowiadać w jakie fałdy spocona koszula układa się na ciele biedaka. To są drobnostki, zgoda, ale niesłychanie psujące ogólny efekt obrazu.

Czy chcecie bym wam dowiódł prawdę powyższych spostrzeżeń?

Oto więc naprzód pierwsze początkowe usprawiedliwiające pochwały: Olivier jedzie na wieś, do krewnych w gościnę.

„Il suit un de ces doux et plantureux vallons
De Touraine ou, parmis les fleurs des prés en pente,
Capricieusement et mollement serpente
Un cours d'eau calme et pur, sans ile et sans bateaux;
De tous côtés, les bois couvrent les deux coteaux
En haut desquels parfois une svelte tourelle
Denine sa blancheur sur un ciel d'aquarelle,
Le paysage cher ou voyage Olivier
A son heureux retour semble le convier:
Rien n'a changé pendant la longueur de l'absence,
Tout l'accueille comme une ancienne connaissance,
Ces détails du chemin, il les reconnait tous.
Jusqu' à la vache brune à l'oeil profond et doux
Qui pose, pour le voir, son cou sur la clôture.
Comme autrefois, le poids de la vieille voiture
Fait, en passant dessus, trembler le pont de bois,
La chute du moulin bruit comme autrefois.
Il reçoit le salut des curés en soutanes
Menant leur carriole au trot sous les platanes.
Et dans les halliers verts, comme lui rajeunis,
Les oiseaux dont jadis il dénichait les nids,
Chantent la bienvenue à leur vieux camerade."

Dla kontrastu świeżemu i wdzięcznemu temu obrazkowi przeciwstawmy inny, w którym wygórowana miłość szczegółów zaprowadza autora za daleko, bo aż do bliskiego sąsiedztwa z poziomą a pospolitą prozą.

Scena przedstawia folwarczne na wsi podwórze:

„La maison, aujourd'hui ferme jadis chateau
A bon air. Un fossé l' entoure; un vieux bateau
Plein de feuillage mort, pourrit là, sous le saule
Par l'etroit pont de pierre, au la volaille piaule
Répondant à grands cris aux canards du fossé
Et par la voute sombre au centre surbaissé,
On entre dans la cour spacieuse et carrée
Que jonchent le fumier et la paille dorée,
Avant le déjeuner, parfois j'en fais le tour,
Je regarde rentrez les bêtes de labour,
Gros chevaux pommelés, les pieds velus, la queue
Troussée, avec le lourd collier de laine bleue
Le gland rouge à l'oreille et le grossier harnais."

Nieprawdaż że w tem wszystkiem nader mało poezji i że rymować tak można bez końca opisując każde bydlę folwarczne od rogów aż do kopyta. Ma to być niby realizm, ale realizm nader fałszywie pojęty. Zasada bowiem nieidealizowania niczego i przedstawiania każdej rzeczy we właściwem jej świetle, nie każe nam jeszcze gwałtem wlepiać oczy w to, co na pobieżne zaledwie zasługuje spojrzenie.

Język utworu dobry. Mniej w nim uiż u innych współczesnych tych hazardownych neologizmów, jakiemi ostatnie piszących pokolenie uposażyło mowę Corneille'ów i Racine'ów; więcej trzeźwości w wyrażeniach i więcej sumiennego opracowania. W ogóle poemat o którym mowa nie roznamiętniając czytelnika, nie roztwierając przed nim zbyt szerokich horyzontów umu a fantazji, przyjemne jednak przynosi mu wrażenie. Żałośna, tęskna nuta w ogólnym przemagająca nastroju, rozrzewni go w samą miarę. Czyż tego nie dosyć?

Są ludzie zapowiadający bliski koniec poezji, pod wzbierającą powodzią materjalizmu. Tymczasem ostatni zeszyt „Współczesnego Parnasu" (*Le Parnasse contemporain*) publikacji poświęconej wyłącznie pracom poetycznym, wziął sobie za wyraźne zadanie kłam im zadać. Zeszyt ten w samej rzeczy wykazuje nam we Francji całą plejadę nowych i utalentowanych poetów. Albo bardzo się mylimy albo niektóre z niej imiona, jak: Anatole France, Emmanuel des Essarts itd. niedaleka przyszłość nader pochlebnie utwierdzi w pamięci czytających. Są to młode, początkujące, a już wiele obiecujące siły. Carakterystyczną cechą tego co nam dziś dają jest wyraźne unikanie abstrakcji, a zamiłowania tego co pod zmysły podpada, co natura bezdenną, nigdy nie wyczerpaną w około nas roztacza skarbnicę. Dlaczegoż by poezja nie mogła w tym kierunku świetnem żniwem rozkwitnąć? Nic błędniejszego nad naznaczanie jej

granic, nad wytykanie jej takich a nie innych dróg w przyszłości. Pięknо dopatrzone przez wnuków naszych gdzie indziej niż tam, gdzieśmy je wypatrywali, przestanież dla tego być pięknem? Bynajmniej! Myśmy ideał nasz widzieli w chmurach, oni swój postawią być może na ziemi. Tem lepiej. Łatwiej go bowiem dosięgnąć potrafią. A w każdym razie poezja ta pierwsza ku niemu przewodniczka, nie skończy jeszcze tak skoro i ci co jej zawczesne wróżą zniknięcie według nas zupełnie się mylą.

(Dok. nast.)

BIBLIOGRAFJA.

Włoska.

— Il divorzio considerato nella teoria et nella pratica, per Domenico di Bernardo; 1 Vol in 8. Palermo, Natale 1876.

W chwili gdy francuscy autorowie dramatyczni jakby sobie dali słowo, aby rozbierać na scenie kwestję rozwodu, nie zdaje nam się rzeczą niewczesną wskazać dzieło, które włoski prawnik Dominik Bernardi wydał właśnie ze względu na ten poważny przedmiot. W jednym tomie o 800 stronach, rozbiera autor, bez jakiejkolwiek stronniczości i z największym spokojem — wywody podawane za lub przeciw rozwodowi; przytacza zdania pisarzy wszystkich narodów, rozbiera tę kwestję we wszelkich możliwych przypadkach, przechodzi w zestawieniu rozmaite prawodawstwa i kończy wnioskiem, że trudno jest dzisiaj bezwzględnie, z rozumem bronić nierozwiązalności — związku małżeńskiego. Może być, że nie każdy się z nim zgodzi, — ale sumienne opracowanie przedmiotu będzie użytecznem dla tych, którzy zechcą zgłębić tę kwestję.

Francuska.

— Le long de la vie, nouvelles impressions d' une femme, — par M. A. M. Blanchecotte 1. Vol. in 12 Didier. Paris 1876.

Szczerość, pewna szlachetność i delikatność uczuć, zawarte w tych kartkach, nie pozwalają ci nie polubić i nie uszanować autorki; — wytworny styl, w którym to dzieło napisane – dalekim jest od zwyczajnego. Ale Francuzi już nie są więcej przyzwyczajeni do tych używanych myśli — do „maksym“ — które tak bardzo lubiało towarzystwo uczonych XVII stulecia, ci wszyscy, których filozofja Kartezjusza usposobiła do zapatrywań moralnych. Romans Francuzów zepsuł.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Polemika.

— Nie jeden może, nie zastanawiający się zimno nad tem co się w kraju dzieje, kilkakrotne wystąpienie nasze przeciwko klice p. Goliana mógł był uważać za namiętne. Tymczasem teraz największy nawet konserwatysta, byle był człowiekiem prawym i nie kokietującym z rządem rossyjskim, musi przyznać, że głosy nasze były niezbędne, a zarzuty słuszne, bo na prawdziwych faktach oparte. Ks. Krechowiecki, doktor św. Teologji, kaznodzieja katedralny lwowski, powiedział był na pogrzebie śp. Seweryna Goszczyńskiego „że dla miłości Boga, nie potrzeba wyrzekać się miłości Ojczyzny, bo ani Bóg ani Kościół nie żąda od nas takiej ofiary.“ Uczciwe to wystąpienie nie podobało się zacnym ultramontanom, to też z całą namiętnością napadli ks. Krechowieckiego w swoich organach. Ks. K. uznał za niezbędne wystąpić publicznie, i oto w *Gazecie Narodowej* z d. 29 i 30 kwietnia rb. przeczytaliśmy jego odprawę, daną *Przeglądowi Lwowskiemu*. W ważnym tym dokumencie, znajduje się ustęp skierowany wprost przeciwko p. Golianowi i jego adherentom. Brzmi on: „Wszelka miłość inna, ta, która Boga nadewszystko nie kocha, która miasto służyć Bogu w ojczyźnie, uznawac ją za dziecko i sługę Bożą, bluźni mu, urąga, depce zakon Jego; która w imię własnej powagi, uzbraja się w podejrzliwość, nienawiść, sztylet morderczy; jak zarówno ta, która nadużywając powagi Boga i kościoła, w ich niby imieniu, umie tylko siać klątwami, pohańbieniem, gniewem, wyrzucać ziomkom własnym zbrodnie niebywałe; straszyć urojonem widmem (przynajmniej u nas) masonerji, tajnych a wrogich kościołowi sprzysiężeń i temi się upoważniać do złorzeczenia braciom, drażnienia ich i rozbijania, wobec chciwych naszego rozdwojenia i zguby nieprzyjaciół; która „w modlitwie i we łzach przed Bogiem“ nie umie znaleźć innej rady dla poratowania matki ojczyzny, jedno podłe rzucanie się do stóp ciemiężców, zarówno Bogu, kościołowi i Ojczyźnie wrogich; uznaje ich za prawowitą władzę za „wolę“ nie za chłostę Bożą, dla tego tylko. że gwałty swe spełnili i spełniają (patrz ohydną broszurę „Irlandja i Polska“); takiej mówię miłości, a raczej takich uczuć i teoryj nie nazywam miłością i patrjotyzmem, lecz jego nadużyciem, sponiewieraniem, zaślepieniem, fanatyzmem, zdradą; takich uczuć nie głoszę zaprawdę w naukach moich, o takie uczucia nie chcę, nie śmiem podejrzywać mych ziomków.“ Słowa te są tak wymowne, że nic do nich dodawać nie potrzebujemy. Spodziewamy się teraz, że zdrowa część naszego duchowieństwa, którą naprożno importowani ultramontanie starali się dotąd usidlać, przejrzy jasno i przekona się, dokąd ją chciała zaprowadzić zgubna polityka p. Z. Goliana.

— Niepowołany jakiś pedagog wystąpił w *Gazecie Narodowej*, z d. 22 kwietnia z zarzutem, że odkąd *Szkoła* przeszła pod redakcję p. Łucjana Tatomira, „straciła swój charakter pedagogiczno-dydaktyczny.“ Dziwi nas niezmiernie że *G. N.* mogła coś podobnego umieścić! Czy niepowołany pedagog i krytyk, czytał kiedy *Szkołę*, zastanawiał się nad jej kierunkiem i czy w ogóle wie, jak powinno wyglądać pismo pedagogiczno-dydaktyczne? Nam się zdaje, że cała ta notatka wkradła się chyba „przypadkiem“ w łamy *G. N.* bo ciekawe to zjawisko trudno sobie inaczej wytłumaczyć. Jeźli kiedy, to właśnie teraz *Szkoła* jest redagowana starannie i odpowiednio swemu celowi, jeźli kiedy to właśnie teraz pismu temu najmniejszego nie można zrobić zarzutu. Potwierdza to także profesor p. St. Kuryłowicz, który w Nr. 18 *Szkoły* należytą daje odprawę niepowołanemu pedagogowi *G. N.* Pismo poważne nie powinno umieszczać notatek bezpodstawnych, bo tem tylko samo się kompromituje.

Sztuka i literatura.

— Trzecie, w bieżącem półroczu, przedstawienie amatorskie w teatrze hr. Skarbka, urządzone staraniem akademików na dochód Towarzystwa bratniej pomocy słuchaczów Wszechnicy lwowskiej, odbyło się w poniedziałek 1. Maja przy licznym udziale widzów, zwabionych zarówno humanitarnym celem produkcji, jak doborowym jej programem. Wieczór rozpoczęto piękną fantazją na fortepjan z „Elisir d' amore“, odegraną przez pannę H. uczennicę pana Mikulego, z wielką precyzją i znajomością przedmiotu. Następnie odśpiewała primadonna pani Adelina Paschalis śliczną balladę. Nie potrzebujemy pono dodawać, że śpiewała znakomicie. Grzmiące oklaski całego amfiteatru były najwymowniejszym dowodem, jak ją wysoko cenimy. Niemniejsze aplauzy zebrał ulubiony nasz artysta-śpiewak p. Köhler, po odśpiewaniu pięknego poloneza z opery „Wildschütz“. W akcie 5. z dramatu „Dzwonnik z Notre Dame“, przerobionego z powieści W. Hugo przez Karolinę Birch-Pfeifer, odegrał znany artysta dramatyczny p, Barącz rolę Quasimoda, panna Deryng — Esmeraldy, p. Woleński Claude-Frella. Na zakończenie przedstawienia odegrano wodewil „Werbel domowy“. Szkoda wielka, że komitet urządzający, mając zapewniony współdział utalentowanych i pięknemi głosami obdarzonych amatorów, panny R. i pana K. A. — nie wybrał przecie coś lepszego na przedstawienie! To też od zupełnego w tej mierze fiaska uratował jedynie piękny śpiew wyż wspomnianych amatorów. Uzdolniona i sympatyczna amatorka panna R. posiada bardzo piękny głos altowy, a szkołę tak dobrą, że tej pozazdrościć by jej mogła nie jedna śpiewaczka z zawodu. Pan A. bardzo miły baryton o dość wielkiej rozległości głosu, śpiewał z czuciem, i choć w partji jego były tylko skromne piosenki o charakterze czysto ludowym, umiał je jednak oddać wiernie, a ze smakiem i poczuciem artystycznem. Tem większa pochwała należy się za dobre wykonanie tym amatorom, gdy zważymy, że inna a znacznie trudniejsza rzecz dla amatora śpiewać na tak obszernej scenie, w roli charakterystycznej z towarzyszeniem orkiestry, niżeli w znacznie mniejszej jakiej sali koncertowej, z tekstem w ręku i z towarzyszeniem fortepjanu. Reszta amatorów biorących udział w wodewilu grała z humorem i werwą, o ile obydwa te przymioty zastosować się dały do tak bezmyślnego i niewdzięcznego utworu jak „Werbel domowy!“ W końcu odśpiewała panna R. śliczny mazurek Chopina: „Czyjaż wina“, odśpiewała zaś tak pięknie, że już za ten jeden mazurek można ją śmiało policzyć do najlepszych amatorek-śpiewaczek w naszem mieście. Kończąc to sprawozdanie nie możemy ukryć zdziwienia niemiłego, które ogólnie wywołał sprawozdawca *Dziennika Polskiego*, wyrażając się w tak niestosowny sposób o akcencie cennej amatorki panny R. Chciejmy wierzyć, że jedynie wkradła się tam była omyłka z nieuwagi w korrekcie...

Stan. W.

— W teatrze lwowskim w tygodniu ubiegłym przedstawiono farsę spółki autorów francuskich, pt. „Za piękna żona.“ Żeby nie nazwiska autorów niktby nie przypuścił, że to Francuzi napisali. W utworze tym brak charakterów, brak akcji, brak intrygi, brak wreszcie dowcipu. Całość wygląda na fabrykat niemieckiego komedjopisarza, który koniecznie chciał być Francuzem.

— Dowiadujemy się z pism warszawskich, że na wystawie powszechnej we Filadelfji, będzie reprezentowanych 68 firm polskich, wliczając także artystów, którzy posłali dzieła sztuki.

— Dowiadujemy się z „Bluszczu“, że pierwsza powieść J. I. Kraszewskiego z cyklu historycznego, którego wydawnictwa podjęła się spółka księgarzy Warszawskich, wskutek rozmaitych manipulacyj drukarskich wiele czasu wymagających, ukaże się znacznie później nad zapowiedziany przez pisma termin. Powieść będzie trzytomową i wyjdzie p. t. „Stara Baśń.“

— W Warszawie pojawił się trzynastoletni dramaturg, Władysław Łuczyński. Napisał on i własnym kosztem wydał 5 aktowy dramat „Litość i Wdzięczność.“ Zarysowanie postaci małego Cygana w dramaciku wskazuje, że dziecko nie jest pozbawione fantazji twórczej.

— Dziennikarstwo perskie składa się z dwóch pism. W Teheranie wychodzi dwa razy tygodniowo litografowany dziennik urzędowy, a w Bombaju drugie pismo, wydawane przez zamieszkałych tamże Persów. Oba dzienniki liczą 1200 abonentów.

— Darwin napisał nowe dzieło pt. „The results of woss and selffertilization in the vegetable Kingdom.“

Podróże.

— Londyńskie Towarzystwo geograficzne przyjmowało uroczyście d. 11 kwietnia r. b. porucznika Camerona, który wrócił ze swojej podróży przez całą środkową Afrykę. Sławny już dziś badacz i podróżnik ogłosi wkrótce szczegółowy opis swojej ekspedycji, w którym wiele miejsca poświęci krainie Rud, największemu państwu afrykańskiemu, bogatemu w rzeczy nadzwyczajne, a w Europie całkiem nieznane. Cameron zamierza przedsięwziąć wkrótce nową podróż w głąb Afryki.

— W kolonjach australskich poruszono myśl wysłania ekspedycji do bieguna południowego.

Archeologja.

— Towarzystwo archeologiczne, o którego zawiązaniu we Lwowie donosiliśmy w swoim czasie, ukonstytuowało się już ostatecznie i zaczęło wydawać „Przegląd archeologiczny,“ którego zeszyt pierwszy opuścił prasę d. 20 kwietnia rb. Z publikacji tej dowiadujemy się, że Towarzystwo otrzymało od Hr. Marji Borkowskiej, właścicielki Czortkowa, pozwolenie przejrzenia zbiorów po Sadowskim, staroście ropczyckim, znajdujących się we dworze w Czortkowie; że wniosło podanie o dozwolenie przystępu do archiwum dawnych aktów grodzkich, i że Wydział Tow. postanowił przedsięwziąć wycieczki w celu zbadania miejscowości ważnych pod względem archeologicznym, a mianowicie rozpocząć je od Stradcza pode Lwowem, następnie udać się do Podhoraja koło Zarudziec, do Chocimierza i do Podhayczyk koło Rudek. Za godło swoje przybrało Towarzystwo wizerunek Światowida, według starożytnego posągu znalezionego w Zbruczu.

Sport.

— Na tegorocznych wyścigach w Pressburgu, hr. J. Tarnowskiego, „Przedświt“ wziął drugiego dnia pierwszą nagrodę; w pierwszym zaś dniu stanął drugi u mety jedynie dla tego, że dżokej będąc pewnym wygranej zanadto go wstrzymywał.

ROZMAITOŚCI.

— Pan Riederer, austrjacki radca pocztowy, opisuje w liście swoim z 30 grudnia 1875 rezydencję Szacha perskiego w Teheranie w ten sposób: „Temi dniami nadarzyła mi się długo oczekiwana sposobność oglądania rezydencji szacha w towarzystwie posła angielskiego, który w tym samym celu prowadził tam z sobą jakiegoś, do Teheranu zabłąkanego, dziennikarza angielskiego. Będąc pod opieką tak poważnej firmy, jaką tu jest reprezentant Wielkiej Brytanji, byłem pewny, że obaczę wszystko cokolwiek tylko widzenia godne. I nie zawiodłem się wcale, a usłużność i uprzejmość naszych ciceronów przeszła nawet wszelkie oczekiwania moje. Od czasu mojej audjencji u Szacha tj. od lutego b. r. droga wiodąca do pałacu została znacznie rozszerzoną i wybrukowaną, ruiny zaś, tu i owdzie sterczące po obu stronach, zasłonięto wysokiemi murami. Zaraz u wstępu do pałacu przyjął posła angielskiego wielki wezyr z kilkoma innymi dostojnikami, i odtąd towarzyszyli nam ci panowie przez cały czas naszego pobytu w rezydencji. Uprzejmość ich była tak wielką, iż nawet w czasie przechadzki naszej po pałacu pamiętali o przekąskach i chłodnikach. Wszystko to, powtarzam in gratiam posła królowej Wiktorji! Olbrzymia rezydencja składa się z konglomeratu wielkich hal i gmachów, które pomiędzy sobą bądź nie połączone są zupełnie, bądź tylko skromnemi i nieregularnemi chodnikami. Największą ozdobą całości są ogrody piękne, wypełniające każdą wolną przestrzeń i bogate zbiorniki wody, rozchodzącej się wszędzie sztucznemi kanalikami. Idąc schodami w górę i na dół odwidziliśmy pięć głównych budynków. Pierwsza duża hala, na północ i wschód otwarta, a tylko zaopatrzona zasłonami, dość miernie chroniącemi przed wpływem powietrza i słońca, nazwaną nam została jako sala koronacyjna czyli pawia. Zasłony wspomniane były właśnie podciągnięte, i pierwszem co nam wpadło w oczy, zanim jeszcze wdrapaliśmy się po wschodach na górę, były cztery słupy, o dość wielkiej objętości, a 3 do 4 sążnie wysokie, grubo z zewnątrz złocone. Długość sali wynosi około 25 — 30 kroków, szerokość do 15 kroków. Z tyłu i przodu przytykają do sali dwie nawy z galerjami. W lewym kącie strony północnej stoi sławny tron pawi, arcydzieło sztuki perskiej z minionego stulecia. Tron ten podobny bardzo do ozdobnego, wielkiego łoża z kotarami, jakie napotkać można po starych pałacach europejskich. W koło otoczony ścianką ochronną na stopę wysoką, na wezgłowiu ma wyszyte słońce djamentowe, o promieniu na stopę długim. Po bliższem opatrzeniu przekonałem się, że skielet tronu sporządzony dość pospolicie z drzewa, za to jednak wyłożony bogato złotem. Całość spoczywa na czterech lwach, które wyglądają jak pincze nieforemne, na rogach zaś siedzą ptaki z lanego złota, udające, z nie wielkiem jednak powodzeniem, że są właściwie pawiami. Emaljowane napisy z koranu wykonane są po mistrzowsku. Djamenty, rubiny, turkusy, szmaragdy i szafiry, ponatykane wszędzie aż do zbytku, wynoszą pewnie liczbę kilkuset sztuk. Siedzenie pokryte jest materją kaszmirową, otoczoną w koło pasem na dwie dłonie szerokim, a tak suto wyszytym dużemi perłami, że z pod nich nie widać nawet tła materji. Ten jeden tron wart niechybnie kilka miljonów florenów. W przedniej nawie, na eleganckim złotym stelażu, wysadzanym drogiemi kamieniami, stoi pod dzwonem szklannym najświeższa zabawka Szacha — globus! Unikat niewątpliwy, w swoim rodzaju. Powiadają, że cały z masywnego złota, czemu jednak nie wierzę ze względu, iż iż w stosunku do wielkości kuli, stelaż zbyt filigranowy i nie utrzymałby takiego ciężaru. Jakąbądź ona jest, właściwej kuli nie widać wcale, gdyż pokryta cała drogiemi kamieniami, a tylko tu i owdzie widać wąskie pasemka złote, któremi zchwycone są kamienie. Ciekawy to przecie pomysł, kraje i morza mieć odznaczone djamentami i różnokolorowemi kamieniami drogiemi! Aequator i zwrotniki są wolno wiszącemi obręczami z brylantów! Obok tego kosztownego cacka stoi najświeższy podarek Ojca świętego przysłany królowi królów: okrągły stół z czarnego marmuru, na którym w pośrodku blatu wyrobiony misternie z mozajki bukiet kwiatów o nader żywych barwach. Ile więcej kosztowności widziałem nadto w tej sali, wyliczać nawet nie potrzebuję. Po opisaniu pierwszych dwóch łatwo każdy domyśleć się może, że było tam wiele więcej drogich rzeczy. Nadmienić tu jeszcze muszę, że w przeciwległej nawie zauważałem duży portret cesarza austrjackiego Franciszka Józefa. Ztąd ruszyliśmy innym traktem, mijając znowu kilka dość wysokich wschodów. Przeszedłszy na koniec wąski kurytarzyk wybity pąsową draperją, dostaliśmy się do sali cennych okazów europejskich. Sala ta, dość obszerna, a podzielona czworokątnemi słupami na ośm kwadratów, jedyna z wszystkich ma podłogę z pięknych parkietów. Ściany tutaj wybite są brokatem, portjery zaś u drzwi i okien sporządzone z materyj kolorowych, zlewających się z resztą w dość harmonijną całość. Małe taburety złocone, rozstawione w koło dopełniają całości korzystnie. W tej to sali jest nieustająca wystawa europejskich dzieł sztuki. Na jednej ze ścian wiszą rzędem w kosztownych ramach portrety prawie wszystkich monarchów europejskich, na innych znowu i na słupach w pośrodku wiszą obrazy najrozmaitszej treści i wartości, i zegary przeróżnych fasonów; na podstawach wznoszą się statuy i statuetki. W nyszach okiennych i po kątach stoją stoły i płyty z marmuru, grafitu, jaspisu, pokryte cennemi dziełami rzeźby europejskiej. Wrażenie ogólne przypomina bardzo wystawę wiedeńską; gdy się ztąd wyjdzie tak mało pozostaje z wszystkiego w pamięci, jak to się działo temu, kto raz przeszedłszy pałac wystawy chciał zreasumować w myśli widziane przedmioty. Pozostanie tylko mętny chaos w głowie. Ztąd tym samym traktem ale znowu drapiąc się po licznych wschodach, doszliśmy do trzeciej sali, posiadającej już bardziej narodowy charakter, mimo to jednak napchanej dość obficie europejskiemi gościńcami. O niej zostało mi tylko w pamięci, że wyłożona pięknemi dywanami, że także stał w niej tron nieoblicznej wartości wysadzany drogiemi kamieniami, z których wiele dochodziło wielkości jaja gołębiego, że na nasze powitanie zagrało kocią muzykę kilkanaście zegarów zgrzytających, zapewne skutkiem rdzy w środku — i w końcu, że drzwi i ściany były w wielu miejscach odarte z cennych futryn, nikt jednak nie myślał o reparaturze. Wyszedłszy stąd mijaliśmy oranżerję, w której widziałem owoce wielkości głowy dziecięcej. Przez ogrody i szpalery cieniste dostaliśmy się do sali zwierciadlanej i pracowni Szacha, gdzie byliśmy przyjmowani na pierwszej audjencji. Tym razem zauważałem tutaj przytykający pokój dość ciemny, a zastawiony zupełnie kilkunastoma fortepianami i fisharmonikami. Przed kilkoma laty szach sprowadził był z Paryża jakąś Francuskę, która miała grać mu na fortepianie i stroić wszystkie te instrumenta. Gdy się postarzała wróciła szczęśliwie nad Sekwanę. Od tego czasu stoją biedaki osierocone i zapylone. Za to usłyszeliśmy fisharmonikę i fortepian, wygrywający nielitościwie jakąś melodję bez przyłożenia rąk artysty. Katarynki europejskie wydają boskie dźwięki w porównaniu z tą muzyką. Ostatnia sala, którą zwidziliśmy, jest dla amatora Wschodu nadzwyczaj zajmującą, gdyż pod względem stylu i ornamentyki czysto lokalną posiada cechę. Jest to wysoka hala z pozorem świątyni, ściany jej są wyłożone olbrzymiemi płytami marmurowemi, na tych zaś błyszczą złotem wyryte napisy z koranu. Przybytek ten nosi nazwę sali marmurowej. W pośrodku stoi tron z białego marmuru, bogato złocony i pięknie rzeźbiony. U stóp jego wytryska fontanna, spadająca do basenu marmurowego. Szkoda że podłoga sali nie wszędzie wyłożona jest marmurem, gdyż wystające szmaty ziemi i cegieł, rażą oko i nogi przechodnia. Tutaj odbywają się publiczne Salem, t. j. władca odbiera, na Nowy rok i podczas innych okazyj uroczystych, gratulacje ludu poczem każe sypać tłumom pewną ilość drobnych pieniążków złotych i srebrnych. Na przysmak z tej uczty dla oczu pozostał nam skarbiec a właściwiej garderoba Szacha. Zupełnie osobnym chodnikiem i schodami tak wąskiemi, że chyba umyślnie tak były zrobione, by tłustym utrudnić przejście, dostaliśmy się do tego cennego przybytku. W małym pokoju rozłożono na szerokim stole sześć galowych strojów, każdy w innym guście ozdobiony najdroższemi kamieniami. Obok leżą odpowiednie kulah'y (czapki perskie) z agrafami, pioropuszami, szable galowe i kuple, łańcuchy złote i korony. Dalej berło, kilka sztuk wschodniej broni w bogatej oprawie, a w końcu wszystkie krajowe i zagraniczne dekoracje Szacha. Niepodobna rzeczywiście opisać tych wszystkich kosztowności, które na lada drobiazgu do zbytku świecą. Pomiędzy dekoracjami leży w pudełku aksamitnem największy djament Szacha, t. z. Darir-e-nur, tj. światło morza. Djament ten szlifowany w formie tablicy, jest około 6 centym. długi a 3 — 4 centym. szeroki. Tuż koło niego widziałem brylant na rękojeści szabli, o połowie wielkości tamtego, ale z ogniem znacznie piękniejszym i najczystszej wody. Olśnieni temi stokroć miljonowemi bogactwy opuściliśmy pałac i rezydencję, gdyż zajrzeć do apartamentów żon królewskich, nie wolno żadną miarą takiemu śmiertelnikowi, który nie ma szczęścia być eunuchem. Sądząc z tego co słyszałem, skarby tam ukrywane niekoniecznie są godne aż tak niebezpiecznej ciekawości."

— Baron Knigge, autor cennego dzieła „O obcowaniu z ludźmi," był w młodości swojej wielkim figlarzem, zdolnym i skorym do pierwszej lepszej psoty. W dwudziestym roku życia dostał się na dwór Kassel'ski, gdzie dowcipami swojemi rozśmieszał często i bawił landgrafa Fryderyka II i małżonkę jego Filipinę. Ostatnia będąc kobietą nader żywego temperamentu, a przepadająć ze wesołemi zabawami, używała Knigge'go do szpiegowania, by jej donosił natychmiast, ilekroć dostojny jej małżonek opuszczał pałac inkognito. Wówczas urządzała w swoich apartamentach różne zabawy niewinne, na które jednak landgraf byłby zapewne dość kosem patrzył okiem. Nie zawsze nadarzała się sposobność dobra do uwiadomienia swojej pani, w takim zaś razie spryt wrodzony pomagał mu często w sposób nader oryginalny. Pewnej niedzieli naprzykład zbliżył się do niej w kościele i na arję nabożnej pieśni, śpiewanej właśnie przez lud temi słowy: „Bóg jest moją ucieczką" itd. Knigge zaczął nucić półgłosem: „Dziś wieczór Landgraf wyjdzie z pałacu." Nieszczęściem, te słowa zostały zasłyszane przez najbliżej stojących, i zaledwie z wielką biedą stłumiono skandal wielki a niechybny, gdyby cała rzecz doniosła się była do uszu landgrafa. Wkrótce potem zbroił takiego figla, że wskutek niego utracił korzystne miejsce na dworze. Pewien próżny a głupiutki obywatel Kassel'ski pragnął bądź co bądź uzyskać jakąś posadę honorową przy dworze, i w tym celu zwrócił się o pomoc do wpływowego Knigge'go. Dla psotnika była to jak wraz dobra gratka na spłatanie figla. Nie wciągając drugiego do spółki sporządził na własną rękę patent, nadający pomienionemu obywatelowi tytuł: tajnego, kominowego radcy i dyrektora kominów i kominiarzy dworskich. Dobroduszny Niemiec uczuł się tą posadą nader uszczęśliwionym, i byłoby może wszystko skończyło się na tem, gdyby nie fatalizm, który się widocznie uwziął był tym razem ukarać Knigge'go. Oto nowo upieczony pan radca i dyrektor poczytał sobie za święty obowiązek złożyć osobiście dzięki łaskawemu landgrafowi. Oczywiście na audjencji rzecz wydała się, i choć zrazu Fryderyk uśmiał się do rozpuku, później jednak postanowił ukarać psotnika za nielegalne przyłożenie pieczęci wielkiej i podrobienie podpisu landgrafoskiego. W kilka dni Knigge daleko już był od Kassel.

Od Redakcji.

*** **w Krakowie.** Wiersz przysłany nam na uczczenie rocznicy 3 Maja nie mógł być umieszczony, gdyż prócz kilku udatnych zwrotek inne były słabe tak co do treści jak formy.

S. S. w Rzeszowie. Dzieł Jeża wyszły dotąd tomy I i II. Kwartalnie wychodzi I tom. Prenumeratorowie TYGODNIA płacą za tom 1 złr. 60 cnt.

P. W. w Stanisławowie. Ilustracje, które do TYGODNIA będą bezpłatnie dołączane, zostały już zamówione w Stuttgardzie.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).